Egzemplarz obowiązkowy
BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN
czas. 2552/197

ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

LUBLIN 18 II 1979 NR 4 (672) · DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY · CENA 3 ZŁ

W NUMERZE:

- O babci w klatce
- O „Operetce" Gombrowicza
- O nowościach „Pomozbytu"
- O „Układzie krążenia"

Zbigniew Strzałkowski

PODWOJNY PORTRET MIASTA

Kiedy po raz pierwszy wszedłem północną nawą
do miasta zielona fala wypełniała śródmieście
aż po górne gzymsy secesyjnych kamienic
a ze wzgórza zamkowego pokazywano panoramę
niczym miniaturę w której stalowy komin fabryki
jest filarem podtrzymującym błękit.
Któż mógł przewidzieć że na drugi dzień
trzeba będzie pola odsunąć poza horyzont
i miękkość łąk przemienić w ulice asfaltowe
opinające szczelnie żelbetowe wieżowce.
Lublin szeroko rozlany w zieleni i bieli
srebrzystym liściem wielekroć przepołowiony
pomiędzy dwa błyski zawierzył swą przyszłość
próżno chcąc dosięgnąć granic osiedli
złączonych ze sobą nowym znakiem sztuki.
Biegnąc za echem rodzinnego przedmieścia
dotykam pośpiesznie skóry ulic
uchylam drzwi gotyckich legend
zaglądam do wnętrza klubów umajonych
stoję zachwycony melodią wirujących maszyn
i raz jeszcze
zakochana linią próbuję narysować
nocny profil miasta.

Lublin — ptak wstrzymany w przelocie.

SZKIC DO OBRAZU

miasto otwiera się promieniście
jak krzew bzu przebudzony chłodem
jak ptak purpury brązem otoczony
jak ostrze burzy tęczą zatrzymane

miasto ściera resztki snu z architektury

nadleciał wiatr zapóźniony
i pobiegł gniewnie w dół gotyckiej sieni
a za nim stado aut strwożonych

obok stał poeta zasłuchany w poranek
oburącz błogosławił
idącym na pierwszy przystanek dnia
biegnącej za uśmiechem miłosnego gestu
pąkom drzew otwartym na nowe widzenie

błękit obejmuje miasto w pół

Siergiej Wasiliew. Z cyklu „Dziecko się rodzi"

18 LUTEGO 1944...

Władysław Kucharski

35 LAT temu, 18 lutego 1944 r. w Rudce Krasnskiej koło Lubartowa powstała pierwsza w okupowanym kraju konspiracyjna terenowa rada narodowa, lubelska WRN. To że uformowała się ona na Lubelszczyźnie, nie było dziełem przypadku, lecz historyczną konsekwencją bogatych tradycji walk wolnościowych. Na tej ziemi istniały w latach 1918—1919 rady delegatów robotniczych i chłopskich a w okresie okupacji hitlerowskiej działały komórki Polskiej Partii Robotniczej oraz potężny ruch partyzancki.

Doniosłą rolę w organizowaniu rad narodowych i w określaniu ich profilu politycznego odegrała PPR. Sprawę organizacji rad narodowych partia wysuwała na czoło swych zadań uważając, że są one historycznie sprawdzoną formą władzy mas ludowych. Dowiodły tego doświadczenia Komuny Paryskiej oraz rewolucji w Rosji w 1905 i 1917 roku.

PPR w wydanej w listopadzie 1943 r. deklaracji „O co walczymy" nakreśliła kierunki walki z okupantem oraz przedstawiła wizję przyszłej Polski — wizję, w której realizację aktywnie angażowały się masy ludowe. Listopadowa

Dokończenie na str. 4

UFO z wody?

Witold Wawrzonek

100 (997) procent bojowników o uznanie UFO za sprawę tak konkretną i namacalną jak tegoroczne śniegi twierdzi że obiekty te podrzuca nam Kosmos. Autor poniższego tekstu lokuje ich bazę wprost przeciwnie, w wodach mórz i oceanów. Wydało się nam to wystarczającym powodem opublikowania artykułu p. Witolda Wawrzonka. Naturalnie, nie obyło się w redakcji bez dyskusji na „Dać czy nie dać". Jak widać, ten niemal hamletowski dylemat został rozstrzygnięty na korzyść autora.

W MINIONYM roku, w okolicach miejscowości Emilcin na Lubelszczyźnie, zdarzyło się lądowanie dziwnego obiektu, o czym szeroko informował prasę mieszkaniec tej miejscowości, 72-letni Jan Wolski.

Prawdomówność świadka tego incydentu poddano szczególnie ostrym i „twardym" zabiegom (m. in. testem prawdomówności z użyciem lie-detectora — tzw. metodą psychofizjologiczną), nie stwierdzając niczego, co przeczyłoby w części lub całości wersji podanej przez Jana Wolskiego. Autentyczność podanych przez rolnika faktów miały ponadto potwierdzić (pośrednio wprawdzie) dziwne ślady na błotnistym gruncie, które widzieli pewni mieszkańcy Emilcina w dniu incydentu.

Dokończenie na str. 4

z notatnika

8.II. — Obrady Sejmu PRL. Tadeusz Wrzaszczyk, wicepremier, przewodniczący Komisji Planowania przy Radzie Ministrów, przedstawia informację rządu o głównych kierunkach prac w zakresie poprawy jakości wyrobów, usług, robót i obiektów budowlanych.

W rubryce *Z kraju* „Polityka" donosi: „Gazeta Współczesna" informuje o tragicznej sytuacji w wielu domach w Giżycku, Gołdapi, Białymstoku, gdzie woda płynie po ścianach, a dachy przypominają sito. Architekci i spółdzielcy ustalają ponad wszelką wątpliwość, że wina leży w fatalnych materiałach i złym wykonawstwie. Papa jest marna i nie odpowiada normom. W 1978 r. Białostockie Zjednoczenie Budownictwa kryło 93 proc. dachów w czterech województwach papą asfaltową podłego gatunku, jakiej nie powinno się w ogóle stosować. Resort wydał decyzję o poprawie jakości budownictwa na papierze. Dachy ciekną w całej Polsce i tegoroczna zima tylko ujawniła skandal."

Jadę ostatnio lubelską trasą W-Z, jak dotąd ciągle jeszcze w stadium tworzenia. W pewnym miejscu — stop! Odcinek wyłączony z ruchu. Zalała go woda. Nie pierwszy zresztą raz. Budowniczowie nie przewidzieli, że trzeba zatroszczyć się o urządzenia, które by spływającą wodę odprowadzały. W czasie jednego ze spotkań z aktywem pewnej spółdzielni usłyszałem, że przyspieszono budowę trasy, zalano ją asfaltem. Skutki tego odczuwamy do dzisiaj. Ile pieniędzy musimy wydatkować, by teraz wyprostować nieprzemyślane decyzje?

W Sejmie przemawia poseł Henryk Świderski, I sekretarz KW PZPR w Chełmie. Stwierdza, że często świadomie produkuje się określone ilości złych wyrobów, aby wykonać ustalony plan, gdyż jego niewykonanie naraża załogę na utratę premii. Poseł wypowiada się za tym, aby za produkt finalny byli również rozliczani kooperanci, którzy niejednokrotnie dostarczają części lub elementy źle wykonane. Zdaniem mówcy potrzebna jest wyraźna definicja, co można uważać za nowy wyrób. Dotychczas producentowi bardziej opłacają się wyroby, za które uzyskuje się cenę nowości, niż ubieganie się o znak jakości.

Właśnie, właśnie! Półtora roku temu kupiłem w Chełmie buty produkcji tamtejszych zakładów obuwniczych. Miałem je tylko raz, dosłownie raz na nogach. Buty prezentują się nawet elegancko, ale nie można w nich chodzić. Przypominają stalowe obręcze. Kiedyś przy okazji zaprezentuję je dyrektorowi, który włada zakładami...

Kapitalne w swojej wymowie, ale w sumie bardzo smutne, przykłady niegospodarności przedstawia „Życie Gospodarcze" na ostatniej stronie pisma. Posłuchajmy: „Wizyta w składnicy złomu w Olsztynie ukazuje rozmiary marnotrawstwa. Są tu duże ilości maszyn do pisania, które instytucje powyrzucały, kupując nowe. Nim je na złomowisku połamano, pięknie pisały i wiele prywatnych osób odkupiłoby je z pocałowaniem ręki. Leżą tysiące sztuk pojemników do kefiru i śmietanki. Poszły na złom, bo zastąpiono metalowe — plastikowymi. Z zakładów mięsnych którym ciągle brakuje puszek do konserw, dostarczono 840 kg puszek. Podobno wszystkie wybrakowane. Zbyt skomplikowana produkcja. Leży tu 1000 sztuk nowiutkich wirników do froterek. W każdym są dwa łożyska. Leży kilka skrzyń nowych stopek do maszyn do szycia. Prokuratura bada, kto je wyrzucił. W sklepach notabene ludzie dopytują się o te wirniki do froterek — nie ma. A zakład reperujący froterki oznajmił reporterowi „Gazety Olsztyńskiej", że za jeden taki właśnie wirnik biora od klientów 390 zł. Składnice złomu są wstydliwym miejscem gospodarki..."

Oczywiście dobrze, że Sejm zajął się problemem jakości, że w informacji rządu mówi się, iż „tandetny wyrób nie powinien mieć nic wspólnego z polską marką, zakładem, twórcą i producentem". Dobrze wreszcie, że Sejm uchwalił ustawę o jakości wyrobów, usług, robót i obiektów budowlanych. Może ona doprowadzi do jakiegoś porządku. Sama ustawa nie zmieni jednak mentalności ludzi, w których rękach leży produkcja. Przynajmniej nie zmieni z dnia na dzień. Stąd szczególne obowiązki dyrekcji zakładów, samorządów robotniczych, organizacji politycznych, społecznych, młodzieżowych i wreszcie prasy.

9.II. Wysłałem „List z Lublina" do „Szpilek", w którym to i owo wytknąłem. A tu mam nowy kwiatuszek. Lubelski Zakład Energetyczny wprowadza roczne rozliczenie za zużytą energię elektryczną. Otrzymałem sześć rachunków zaliczkowych. Zużycie roczne zostało obliczone na podstawie dotychczasowego średniego zużycia energii i gazu. Znakomity pomysł! Ale ja się pytam uprzejmie, kto pisał załączoną do dokumentów „Informację dla odbiorców en. elektrycznej"? Cytuję: „...odbiorca może zgłosić tą o k o l i c z n o ś ć". Odbiorca wszędzie zaczyna się małą literką „o", natomiast o kierownikach „oddziałów handl. obsługi odbiorców w terenowo właściwych rejonach energetycznych" Zakład Energetyczny wyraża się z szacunkiem. Owi „kierownicy", nieznani mi bliżej, pisani są przez duże „K". O nieznajomości stawiania przecinków, czy błędzie korektorskim („odiborcę") już nie wspominam. Instrukcję wydrukowano w liczbie 380 000 egzemplarzy.

10.II. Śnieg atakuje. Po Osiedlu im. Sienkiewicza krąży pług, który oczyszcza wprawdzie jezdnię, ale zasypuje śniegiem parkujące samochody. Kierowcy mają dodatkową robotę. Na szczęście nie dochodzi do scen, o jakich w rubryce C o ś z ż y c i a pisała „Polityka" Mianowicie w Łodzi przy ul. Sierakowskiego walczyło na pięści dziesięciu posiadaczy aut. Właściciel malucha odśnieżył miejsce do parkowania. Zajął mu je właściciel dużego fiata, mimo tabliczki ostrzegającej, że plac jest owocem prywatnej przedsiębiorczości. Dopisał: „Podwórko jest wspólne". Rano właściciel dużego auta miał spuszczone powietrze z kół, a na tabliczce dopisano: „Powietrze też jest wspólne". Gość od dużego auta zaczął bić faceta od małego i w bójce brało udział stronnictwo tych, którzy uważają, że kto odśnieżył, jest właścicielem miejsca, zaś po przeciwnej stronie walczyli zwolennicy poglądu o kolektywnej własności przestrzeni...

Miejsce, na którym stoi mój maluch, miejsce w trudnych dniach przez dwie godziny odśnieżane, zajął raz mieszkający obok aksówkarz bordowego fiata (227). Napisałem w kurtuazyjnym tonie utrzymana kartkę, którą podłożyłem mu pod wycieraczkę. Historia już się nie powtórzyła.

Z kulturą nie jest więc w Lublinie źle.

MAJ

SZPALTA O SPORCIE

W NIEDZIELĘ 4 lutego telewizja i radio przedstawiły nam po kilka relacji z „Biegu Gwarków" — imprezy zorganizowanej na podwałbrzyskich wzgórzach. Ponad pięć tysięcy osób wzięło udział w biegach narciarskich na trasach długości jednego do pięćdziesięciu kilometrów, po których biegali narciarze w wieku od półtora roku do lat siedemdziesięciu kilku.

Umiejętności narciarskie uczestników biegu były różne. Małym dzieciom towarzyszyli idący przy nich rodzice a najlepszy zawodnik biegnący na trasie 50 km przedrzej ukończył bieg niż ostatni narciarz z trasy 10 kilometrowej i to chyba w tej imprezie jest najpiękniejsze: sport dla zdrowia, nie dla rekordu, przełamywanie barier wstydu — że będzie się ostatnim, że uprawia się sport właśnie dla siebie, dla własnej przyjemności, dla wypoczynku, dotlenienia organizmu, a nie dla zdobycia laurów zwycięstwa.

Dlatego też trzeba przyklasnąć inicjatorom tego typu imprez, których w naszym zimowym kalendarzu jest coraz więcej, bo to nie tylko wałbrzyski „Bieg Gwarków", ale i zakopiański „Bieg Gąsienicowy", jeleniogórski „Bieg Piastów", a od ubiegłego roku — „Bieg Hetmański" w naszym regionie organizowany przez działaczy województwa zamojskiego.

W ubiegłorocznych biegach narciarskich, zorganizowanych z inicjatywy Zarządu Wojewódzkiego ZSMP w Zamościu zgłosiło się 1500 osób. A w tym powinno być znacznie więcej, bo zima bardziej śnieżna i popularność masowych biegów narciarskich wzrasta. Bierzemy przykład z naszych północnych sąsiadów — Skandynawów, których w „Biegu Wazów" uczestniczyło wiele tysięcy.

„Bieg Hetmański" odbywa się w tym roku 25 lutego. Na bardzo pięknych trasach w okolicach Krasnobrodu pobiegną narciarze, którzy będą mieli do przejechania 15, 5 lub 1 km zależnie od grupy wiekowej. Organizatorzy przewidzieli nagrody dla najlepszych, dla najstarszych, dla najmłodszych, dla kobiet, dla zrzeszonych w związkach sportowych i dla niezrzeszonych.

Ale nie o nagrody tu chodzi, nie o zwycięstwo. Chodzi tu przede wszystkim o zdrowie, o wypoczynek na śniegu, o zachętę do uprawiania narciarstwa biegowego, któremu tegoroczna zima stwarza bardzo dobre warunki. Bo przecież zamiast łamać nogi lub narty na stokach Kasprowego, można mieć wiele przyjemności i odprężenia nerwowego na trasach biegowych i niewielkich wzniesieniach Roztocza oraz na wielu innych falistych terenach (a nawet i całkiem płaskich), na których rozwijać można ogólną tężyznę fizyczną i oglądać jednocześnie niezapomniane zimowe pejzaże.

Zachęcając do udziału w „Biegu Hetmańskim", życzymy jego uczestnikom jak najlepszych wrażeń i rozsmakowania się w biegach narciarskich, które przecież można też uprawiać indywidualnie — tylko dla siebie. A organizatorom — kłopotów z powodu dużej liczby zgłoszeń.

Zainteresowanych informujemy, że zgłoszenia do „Biegu Hetmańskiego" przyjmuje ZW ZSMP w Zamościu. Zamierzają 5 do 20 lutego, się chyba tak, jak organizatorzy wałbrzyscy, przyjmie też tych, którzy przyjadą w dniu imprezy.

Igw

PKS: z tobą dole i niedole

Aleksander Rozenfeld

RANEK 30 stycznia, Zakopane w świeżej szacie śniegu, jeszcze dzień przedtem mokro, po halnym, który skutecznie wyparł wszelkie myślenie o zimie. Niespodzianki pogody w tym zakątku Polski, jakże częste i jakże trudno się do nich przyzwyczaić...

Ze swoją dwunastoletnią córką zmierzamy w kierunku dworca autobusowego, skąd około ósmej rano mamy odjechać kursowym autobusem do Lublina. Jest autobus, wsiadamy, nie wiemy, że przez około dobę zamieni się on w nasz dom. Warstwa śniegu w Zakopanem nie przekracza jednego centymetra. Kierowca od niechcenia rzuca na powitanie: „Jak dobrze pójdzie, nad ranem będziemy". Nikt z pięćdziesięciu pasażerów nie bierze tych słów na serio, zdaje się nawet, że niewielu je dosłyszało. Do Krakowa dojeżdżamy z blisko dwugodzinnym opóźnieniem. Ale to przecież po drodze Kilkuszowa, Obidowa, oraz droga pełna wyrw, mimo że słynna „zakopianka" stanowi oczko w głowie drogowców.

W Krakowie już słyszymy głos dyżurnej ruchu PKS odwołujący kursy autobusowe z kierunków Gorlic, Krosna, Nowego Sącza...

Nasza trasa wiedzie przez Koszyce, Nowy Korczyn, Połaniec, Sandomierz i dalej przez Ożarów, Kraśnik.

Na mapie trasa jest trasą główną, powinna więc być teoretycznie przejezdna na całym odcinku. Z Krakowa do Sandomierza jest 160 kilometrów. Jedziemy wolno, szosa śliska, pełna ukrytych niespodzianek. Sanos nie jest zbytnio przystosowany do naszych dróg, delikatny, kapryśny, ale jakoś toruje sobie drogę.

Mijające nas samochody kierowca kwituje ironicznym uśmiechem: on wie, że napotka je później, opuszczone lub z kierowcami obok, klnącymi, błagalnym ruchem ręki zatrzymującymi co cięższe wozy, mogące te małe fiaty wyciągnąć z opresji.

W Koszycach pierwszy postój, jest mały sklepik-kawiarenka, w której można kupić każdy rodzaj piwa, colę, czekolady — i tu pierwszy sygnał alarmowy — rozgrzane opony dobrze poczuły się w zmarzniętym gruncie, autobus ani drgnie dopiero nasza ręczna interwencja rusza kilkutonowy ciężar z miejsca.

Po przerwie w Nowym Korczynie sytuacja się powtarza, ale i tu jeszcze nie ma powodu do niepokoju. Około szesnastej, gdy teoretycznie powinniśmy już być koło Lublina, zatrzymuje nas nieopodal Połańca pierwszy poważniejszy korek. Naczepa w poprzek jezdni, a za nią sznur samochodów; to były te wozy, które minęły nas za Krakowem.

Robi się ciemno, autobus na szczęście ogrzewany, choć kierowca troskliwie co raz ogrzewanie wyłącza, chcąc zaoszczędzić ropy na wypadek utknięcia.

Przestawiamy „malucha" na pobocze, kierowcy nie było, a właśnie „maluch" stanowił dla nas przeszkodę w ruszeniu naprzód. W autobusie ośmiu mężczyzn w wieku raczej średnim, kobiet bez liku i dzieci od małych do licealistów.

Autobus nadal stoi, szans na ruszenie z miejsca raczej nie ma, bo przed nami kilkanaście samochodów. Kierowca neurastenik z nastroju w nastrój, od uśmiechu do znużenia. Pożyczamy łopaty, kopiemy pod wozem, aby był prześwit, bo cały wóz ugrzązł po osie w śniegu.

Ruszamy. Godz. 16 min. 25. Radio podaje komunikat dla kierowców, w nim korespondencja z Lublina, skąd radosny głos red. Tomanka, jakgdyby w przeczuciu, że go słuchamy, podaje ponure wieści o zadymkach na całej trasie naszej jazdy.

Prędkość autobusu nie przekracza 25 km na godzinę, ale silny wóz toruje sobie drogę nawet przez spore zaspy śniegu, byle by tylko nie stanąć, nie ugrzązł, bo wtedy o ruszeniu mowy nie ma. Od Koszyc do Sandomierza — 40 pojazdów w rowach, na poboczach istną plagą są przyczepy: nieoświetlone widma straszą kikutami przegubów, wyłaniają się z mroku jak zwidy, opodal Sandomierza rozbity ził kołami do góry żałośnie wygraża niebu. Do Sandomierza dojeżdżamy o ósmej wieczór. Liczymy, że około północy dotrzemy na miejsce.

Ale dojeżdżamy tylko do wsi Przybysławice, tu metrowe zaspy, silny wiatr nawiewa śnieg, w radio koncert życzeń wibrujący zawodową rutyną głos spikera brzmi pośród tej zadymki niesamowicie: „W ten radosny, karnawałowy wieczór zechcą państwo wysłuchać życzeń od swoich najbliższych, mamy nadzieję, że melodie przez nas wybrane zadowolą gusta najwybredniejszych koneserów muzyki rozrywkowej. Na początek życzenia dla srebrnych, złotych i diamentowych jubilatów".

W autobusie grobowa cisza, utknęliśmy w śniegu, ciemno choć oko wykol, a jeszcze traktor, który chciał nas wyciągnąć, stoczył się do połowy w rów, przednimi kołami kręcił tuż przed szybą autobusu. Rozwścieczony kierowca, nie mogąc do tej pory wyładować swoich emocji, krzyczy do młodego chłopaka siedzącego w kabinie ciągnika: „No i co, tyłko łeś mi drogę zajechał!" Tak jakby ten traktor uniemożliwiał wybrnięcie z sytuacji. Stoimy już dwie godziny, dziewięciu mężczyzn (kierowca też chłop) na trzy zmiany wykopuje autobus spod śniegu.

Ale praca to syzyfowa, co odgarnięte, wiatr nawiewa na powrót.

Dokończenie na str. 14

Kamena str. 2

Po drugiej stronie klatki

Bronisław Kowalski

Rys. E. Inglot

TRAGEDIA, jaka rozegrała się w domu przy ul. Koryznowej poruszyła sumienia mieszkańców Lublina. Relacje gazet nie pomijały makabrycznych szczegółów losu staruszki zamkniętej w klatce z desek. Postępowanie rodziny wzbudziło powszechne oburzenie. W ciągu kilku tygodni, gdy głośna była owa sprawa, po drugiej stronie drewnianej klatki objawiło się niemal namacalnie sumienie opinii publicznej.

Trudno pisać reportaż o sumieniu. Zwłaszcza o sumieniu publicznym — jeśli takie istnieje. Czy uznać za jego objaw przybywanie pod dom przy ul. Koryznowej tłumów chcących obejrzeć mury kryjące dramat? Czy szukać go w fakcie zawieszenia na ogrodzeniu posesji plakatu z napisem „mordercy"? Czy też może listy, które wysyłano z miasta pod adresem właścicieli domu, są tego sumienia przejawem?

Treść tych listów jest ważna, gdyż miały one uderzyć w sumienia rodziny staruszki. Pisano między innymi tak: „Żeby tej męki matczynej, a waszego ciężkiego grzechu nigdy Bóg wam nie odpuścił, ażeby was ciężko pokarał". Wszystkie te listy były anonimami, nie podpisał się nikt. Postanowiłem ujawnić ich treść nie po to, by dodać nowych sensacyjnych szczegółów, lecz by świadczyły, że nic w tej historii nie było oczywiste ani jednoznaczne, że zło miało nie wyłącznie czarne, a dobro jedynie białe kolory.

Co innego opisywanie sensacyjnych wydarzeń, a co innego poszukiwanie sumień ludzkich, które jest błądzeniem po omacku. Z owego błądzenia wyciągnąłem tylko jeden pewny wniosek: przyczyn tragedii należy szukać nie tylko w domu przy ul. Koryznowej, choć to w niczym nie umniejsza winy bezpośrednich jej sprawców.

* * *

Kobieta za deskami to matka właścicielki domu, a więc teściowa jej męża i babka jej 21-letniego syna. Oprócz ich czworga mieszkali tam lokatorzy: rodzina z dzieckiem i samotna dziewczyna. Lokatorzy wynajmowali dwa sąsiadujące pokoje. Na parterze w głębi korytarza znajduje się kuchnia i tam właśnie, przy ścianie z okienkiem, ulokowano łóżko dla staruszki i odgrodzono je od reszty pomieszczenia przegrodą z desek.

Staruszkę wywieziono z domu pod nieobecność reszty rodziny. Ponieważ 86-letnia kobieta znajdowała się w stanie wycieńczenia, przewieziono ją do szpitala i powierzono opiece lekarzy.

— Staruszka chodziła stale brudna — mówiła jedna z lokatorek —. Ona rzadko się rozbierała i nieczęsto zmieniano jej odzież. Przynoszono jej jedzenie dwa razy dziennie. Podawano między deskami. Nie wierzę, żeby nie była głodna, trudno, aby człowiekowi wystarczył kawałek chleba i trochę picia. Poza tym wymagała leczenia i stałej dobrej opieki. Oni się z nią męczyli, to fakt, ale jakieś rozwiązanie musieli znaleźć. Później zamknęli ją w kuchni za deskami. To widzieliśmy nie tylko my. Przecież bardzo często przyjeżdżał lekarz, który miał tu garaż. Zwracał im uwagę na stan babci, ale sam nic nie zrobił. W sprawie klatki mówił, że to jego nie dotyczy. Przychodził też opiekun społeczny, ale na jego interwencję można było czekać. Ciekawe, ile jeszcze? My jako świadkowie całej tej sprawy mówimy o tym, co widzieliśmy, dla innych zostawiamy wnioski.

Dziewczyna niechętnie opowiadała o zdarzeniach. A poza tym miała własny kłopot:

— Trudno teraz będzie inną stancję znaleźć — martwi się — bo taki lokator, co się wtrąca w sprawy właścicieli, nie jest mile widziany. No cóż, życie jest takie, ale przekonam się, jak to będzie.

Druga lokatorka mówiła podobnie:

— Początkowo nie chcieliśmy nic robić, bo mogliśmy się znaleźć na ulicy. Przychodziły tu panie z Ligi Kobiet, ale nic z ich wizyt nie wynikło. Jakoś nie starano się zmienić losu babci. Jedna tylko rada była, żeby ją stąd zabrać. Ale wie pan, wszyscyśmy chcieli, żeby wyszło lepiej, a stało się gorzej.

— Dlaczego?

— No, bo gospodarz siedzi w więzieniu. Niby tej kobiecie się pomogło, niby się wyrównało, ale w rezultacie wyszło na zero. Bo tu plus a tu minus.

— Każdy mówi, że nie ma co żałować — wtrącił się mąż lokatorki.

— Ludzie tak mówią, bo przecież to gospodarzy wina, że babkę doprowadzili do takiego stanu. Przez miesiące ją trzymali za deskami. Najmądrzejszy by zgłupiał w tych warunkach. Nie było widoku, że to rodzona matka gospodyni. Ale w sumie wyszło gorzej.

— To nie ludzie, co tak robią — powiedział mąż.

— Hm, też ludzie — odrzekła kobieta. — Trudno będzie znaleźć inne mieszkanie — dodała. — Gospodarz rozpowiedział, że to ja zawiadomiłam milicję i prasę. Ludzie swoje myślą i tak łatwo stancji się nie znajdzie. Ale proszę pana, przecież dla tej kobiety coś trzeba było zrobić.

Na wspomnienie napisu „mordercy" na ogrodzeniu jedna z lokatorek powiedziała:

— Ja bym w formie takiego plakatu nie wyrażała swego stanowiska.

— Pan nawet nie wie, jak ludzie patrzą, gdy się gdziekolwiek podaje nasz adres — powiedziała druga lokatorka.

Dom jeszcze w budowie. Syna gospodarzy zastałem w dresie poplamionym cementem i wapnem. Był w domu sam.

— Widzi pan, tyle roboty, białkowanie, tynkowanie, ani parapetów, ani nic. Aby, o tak, się siedzi — powiedział na powitanie.

Dom wewnątrz faktycznie urządzodzony na tymczasem. Przepychu nie ma. W pokojach mebli mało, albo w ogóle brak, podłogi nie wyłożone deskami, surowe ściany, rury kanalizacyjne sterczą nie zatynkowane, schody na piętra bez poręczy. Wszędzie ślady murarskiej roboty. Weszliśmy do pokoju, gdzie na tapczanie nie zaścielona pościel, obok stół, szafa, w kącie telewizor.

Chłopak opowiadał, że do nowego domu przenieśli się niedawno. Przedtem mieszkali w starym budynku na tej samej działce, co ją od sąsiadki kupili pięć lat temu, gdy ze wsi, z Kosarzewa Dolnego do Lublina się przeprowadzili. Tam we wsi został syn babki, ale koniecznie chciał, żeby ją wziąć do miasta, bo on jej trzymać nie będzie. Potem do niej nie zaglądał. Raz, gdy było więcej roboty na budowie, zawieźli babkę na wieś chcieli tylko na tydzień, ale tamci nie zgodzili się jej trzymać.

— No a w kuchni dlatego przegroda została zrobiona — mówił — że tam jest zlewozmywak, a babka w wodzie się babrała, kiedyś nawet pierzynę na piec kuchenny położyła i tylko dobrze, że nie było rozpalone.

Chłopak opowiadał spokojnie, nie był zdenerwowany, czasem tylko milkł i spoglądał w okno.

— Trochę głupio ojciec to zrobił — powiedział w pewnym momencie — no, bo babka miała właściwie pójść na górę, na piętro, a tam żeśmy kończyli dopiero. Mówiłem ojcu żeby raczej zamek w drzwiach zrobić i babkę zamykać w pokoju. To zamknięcie w kuchni trwało niecałe dwa tygodnie. Przedtem babka, nieraz się zdarzało, sama z domu wychodziła. Ojciec z matką musieli jej szukać w okolicy. Trochę za nerwowo ojciec postąpił, ale przecież się budujemy, a tu z babką same kłopoty były. Do tamtej pory jakoś się męczyliśmy, ale później to trzeba było tak zrobić. Tu leżało dużo sprzętu, rury grzejniki. W tamtym starym mieszkaniu to babka nic nie ruszała, a tu ciągle coś zabierała, przewracała. Jeść żeśmy jej dawali, jak się szło do pracy. I po pracy też dawane było, normalnie. Matka jej dawała, ojciec i ja sam, jak nikogo w domu nie było. Może babka i trzymała mydło — opowiadał — a to lokatorka chyba musiała zauważyć i też dodała o tym do gazety. Z mydłem to ja myślę, że to nieprawda, nie widziałem żeby babka mydło jadła.

On w Lublinie się uczył. Chodził do szkoły zawodowej i ma fach ślusarza.

— Już się odzwyczaiłem od wsi, już nie chcę tam wracać — mówił. — Chociaż jak byłem tam został, byłem sobie urządził, ale budować trzeba by i tam.

W mieście miał nawet dziewczynę, czemu nie.

— I co ona na tę historię?

— Opowiedziałem jej i powiedziała, że mi wierzy, że tak nie jest, jak napisali w gazetach — wydukał bez przekonania.

Tamtego dnia, gdy wrócił z pracy, nie wiedział, że babki już nie ma w domu, gazety nie kupował i dopiero wieczorem siostra przyjechała z drugiego końca miasta. Oburzona była, że taka sprawa. „Dlaczego tak się stało — pytała — kto tak opisał brutalnie w gazecie?".

— Bo przecież wiedziała — opowiadał — jak jest w rodzinie. I tutaj była nie raz i widziała, jak mamusia się z babką męczy.

Potem w dzielnicy straszne rzeczy o nich opowiadano. A te listy, co przychodziły z miasta, on zbierał.

— W życiu jeszcze nie czytałem takich głupotów — mówił.

Podał mi otwarte koperty listów.

„Żebyście w okropnych boleściach pokonali (cała trójka) za swoją matkę i babcię jaką krzywdę wyrządzili. Wy sadyści, zwyrodnialcy, żeby ziemia się pod wami zapadła i pochłonęła w piekielną czeluść. Jeśli nie zdążycie skończyć w kryminale to my mieszkańcy Lublina i tak was zabijemy. Wy wściekłe hieny".

Następny list zaczynał się podobnie. „Wyrodki społeczne. POTWORY. Wierzyć się nie chce, że tacy ludzie jak wy chodzą ulicami, jeżdżą z nami autobusami, stoją z nami w kolejkach, że w ogóle żyją wśród nas. Dom, w którym mieszkacie, powinni otoczyć drewnianą wysoką klatką, żeby z kolei was społeczeństwo oglądało jak zwierzęta w klatce i żeby czasem jakiś litościwy przechodzień rzucił wam do tej klatki kawałek zgniłego jabłka albo mydła. My, matki, jesteśmy głęboko oburzone za takie bestialskie traktowanie kobiety — matki, która dała ci życie. Nie zapominaj, że też masz jednego syna i nie wiesz jak będziesz przez niego na stare lata traktowana. Naszym pragnieniem byłoby, żeby twój syn odpłacił ci tym samym, a także to żebyś do końca życia świat oglądała tylko zza kratek. Tacy ludzie jak wy to kanalie na które nie warto spluną.

Matki"

Przepisując następny list musiałem k..pkować.

„Cześć stara k.. z mężem s... Muszę ci k... oznajmić że nie będziesz miała spokoju do końca swojego z... życia. Ten twój p... syn odpłaci ci za wszystko jak będziesz stara b..."

Czytałem owe listy i nie wiedziałem, co jest bardziej przerażające: postępowanie owej rodziny wobec babci, czy ta korespondencja?

„Wyrodna córko coś matkę w klatce zamknęła odpowiesz przed prawem z tym bandytą co ci wspomagał. Wasz syn dla was nie zapomni klatkę zachować ale was wcześniej inna kara dosięgnie. Ty zboczona suko jak mogłaś być bez serca dla osoby która cię wychowała i być może że wyłudziłaś ostatni grosz. A ty synu urodzony przez wyrodna matkę zapamiętaj abyś swoim rodzicom nieco gorsze na starość warunki stworzył i klatkę zachował".

Przysłano tylko jeden list spokojny w tonie i rozsądny. Ktoś, kto złożył nieczytelny podpis, pisał „Pani" do właścicielki domu.

„Myślę, że teraz jest Pani wstyd, po tym, co się stało. Ma Pani taki ładny dom, tyle pokoi i nie znalazło się miejsce, by umieścić tam matkę? Oczywiście takie miejsce, które by zapewniało spokój i wygodę u kresu życia. Na miejsce matki przyjęła Pani lokatorów, by jeszcze było parę tysięcy, by lepiej żyć. Powie Pani: wszystko takie drogie, wszystko tak dużo kosztuje, a matka nie jest najdroższa?"

Odłożyłem koperty i zapytałem chłopaka:

— Pan z rodzicami postąpi na starość tak, jak tu piszą?

— No, nie wiem, jak tam w życiu będzie — odpowiedział — ale ja bym chciał, żeby jak najlepiej wyszło. Zresztą niech pan pójdzie do siostry zapytać, jak u nas w rodzinie było.

Poszedłem. Dom stoi w dzielnicy na drugim krańcu miasta. Nowe bloki i tu wdzierają się między stare koślawe budynki, klecone na dawnym przedmieściu. W parterowym domu, na uboczu rzędu nowych bloków, mieszka siostra chłopaka. Oprócz jej rodziny, sublokatorzy. Ciasno, duszno, gwar kilkorga dzieci. Siostra i lokatorka zgodziły się na rozmowę.

— Co do tej sprawy, to nikt się nie zapytał, dlaczego tak w kuchni zostało zrobione. No, może prawda, za ordynarnie to było zrobione — powiedziała sąsiadka.

— Każdy, kto rodziców moich zna, wie, że to nie byli źli ludzie — gospodyni wpadła w słowa sąsiadce. — A przecież babka robiła pod siebie, darła pościel. A że ojciec jej ubliżał? Niech się zza tego stołu nie ruszę, jak on jej ubliżał. Jak naocznie naszłam, to widziałam, jak mama babci prała ubranie.

— Ale twój tato zrobił błąd z tą zagrodą, nawet choć na razie, to źle zrobił — trochę inna nuta zabrzmiała w opowieści sąsiadki.

— A gdzie ona była? Gdzie była? Ona to strasznie zacofany człowiek, nawet nie wiedziała, że lignina jest do użytku. Babka czasem wychodziła na ulicę i mówiła, że wraca na wieś piechotą.

— Nad tym się trzeba zastanowić — powiedziała sąsiadka. — Bo człowiek będący tyle na wsi i wyrwany to normalne, że psychicznie może mu się

Dokończenie na str. 12

UFO z wody?

Dokończenie ze str. 1

26 maja 1978 roku usłyszałem i nagrałem na taśmę magnetofonową bardzo szczegółową relację rolnika dotyczącą tego wydarzenia, wykryłem również subtelny ślad, który mógł (ale nie musiał) być spowodowany obecnością obiektu „wiszącego" dwa tygodnie przed tym nad miejscem, gdzie ów ślad został wykryty.

Niestety, takich lub takim podobnych incydentów żadna oficjalna nauka nie bada i nie wyjaśnia — wiadomo jednak, iż o ich spowodowanie posądza się inteligentnych przedstawicieli pozaziemskich cywilizacji, dysponujących rzekomo techniką umożliwiającą im przybywanie do nas z bliższych lub dalszych rejonów Wszechświata.

Tak właśnie niektórzy określają niezidentyfikowane obiekty latające: jako statki kosmiczne, którymi przybywają na naszą planetę przedstawiciele obcych, pozaziemskich cywilizacji, niebiańscy OVNI pochodzący być może nawet z innych galaktyk. Ponadto opisy tzw. spotkań trzeciego typu, traktujące o bezpośrednich kontaktach załóg niezidentyfikowanych obiektów z ludźmi, poręczają raczej, a nie zaprzeczają temu, że UFO i ich inteligentne załogi muszą pochodzić „nie z tego świata". Ostateczny wpływ na tego rodzaju kryteria i opinie ma zapewne to, że nigdzie dotąd na naszej planecie nie natrafiono na jakąś „bazę latających talerzy" Nie ma również jakichkolwiek powodów do przypuszczeń, by jakaś izolowana grupa, pochodząca z naszej cywilizacji, posługiwała się tego rodzaju „samolotami".

Analizując przez długi czas — bardzo wnikliwie i szczegółowo — informacje przekazane mi przez bezpośredniego świadka tego incydentu nie wykryłem (niestety!) j e d n e j choćby poszlaki sugerującej, iż człekopodobne istoty, które widział świadek, przybyć mogły swym nader ekscentrycznie wyglądającym obiektem spoza naszej planety, a to najpewniej dlatego, że z g ó r y n i e z a ł o ż y ł e m domniemanego pochodzenia tychże istot.

Jan Wolski — podobnie jak i inni świadkowie tego rodzaju zdarzeń — podał m. in., że spotkane przez niego istoty miały między palcami rąk błonę, a ich nienaturalnie duże „w stosunku do uznawanych przez nas" proporcji ciała stopy podobne były do płetw. Obiekt, do którego wnętrza istoty te wprowadziły świadka, przez cały okres obserwacji prowadzonej przez rolnika „wisiał" kilka metrów nad powierzchnią ziemi. Istoty te poruszały się po powierzchni twardego gruntu „płynnymi skokami", do złudzenia przypominającymi sposób, w jaki porusza się płetwonurek, np. po dnie morza. A wykonany dokładnie w oparciu o informacje Jana Wolskiego m o d e l obiektu, który „lądował" w okolicach Emilcina, niedwuznacznie dowiódł, że tak zbudowany przedmiot k o n s t r u k c y j n i e nie był przystosowany do zetknięcia się z twardym gruntem, bowiem na jego czterech narożach znajdowały się cztery obracające się bez przerwy i podobne do wierteł urządzenia (stanowiące najprawdopodobniej napęd UFO, lub też jego ewidentną, ruchomą część). Wystawały one około półtora metra poza górny i dolny obrys obiektu, uniemożliwiając mu (bez użycia specjalnej konstrukcji) bezkolizyjne zetknięcie się z powierzchnią twardego gruntu. Gdyby bowiem obiekt zetknął się z powierzchnią gruntu, ruch obrotowy owych urządzeń zostałby najpewniej zatrzymany i obiekt miałby kłopoty ze startem, pomijając już ewentualność uszkodzenia „wierteł". Jednakże tak skonstruowany pojazd, jaki opisał rolnik z Emilcina, mógłby z powodzeniem w o d o w a ć!

Na powierzchni Księżyca i Marsa nie ma jakichkolwiek płynów, na powierzchni Wenus i Merkurego panują zabójcze dla żywych istot temperatury — musiałyby więc one przylecieć „co najmniej" z okolic Jowisza. A rolnik powiada, że widział, przymocowane do wewnętrznych ścian obiektu, s i e d z e n i a, poza tym ż a d n y c h i n n y c h przedmiotów, mogących choćby dwuznacznie sugerować, iż służyć mogą do wypoczynku, czy rekreacji sił w warunkach dłużej trwającego lotu w Kosmosie. Przydatność owych siedzeń w Kosmosie, gdzie przecież panuje nieważkość, wydaje mi się co najmniej problematyczna. Mogły one natomiast służyć załodze UFO do wypoczynku w warunkach działania p r z y c i ą g a n i a z i e m s k i e g o, na przykład przez czas, jaki obiekt mógł zużyć lecąc z Emilcina do oceanu.

Jan Wolski słyszał również dźwięki wydawane przez istoty o zielonych twarzach? Tempo, w jakim wymieniały one między sobą informacje, było „nienormalnie" szybkie; świadek był przekonany, że istoty te „raczej wygłupiały się", aniżeli prowadziły między sobą normalną rozmowę.

W podobnym tempie i przy użyciu podobnych dźwięków, przypominających chichoty, rodzaj „kompleksowego" miauczenia, krakania itp. — wymieniają między sobą informacje najinteligentniejsze po człowieku organizmy: delfiny, które posiadają swój bardzo bogaty język i których mózg jest zdolny absorbować i emitować informacje w tempie przeszło dziesięciokrotnie szybszym, aniżeli mózg nasz. Aby częściowo porozumieć się z delfinem, musimy korzystać z analizatorów dźwięku i maszyn matematycznych. Bez tych urządzeń nasze ucho odbiera bowiem dźwięki tych zwierząt nienormalnie szybko, a ponadto: delfiny porozumiewają się z sobą w zakresie ponadsłyszalnym (ultradźwięki), do częstotliwości około 190 kilocykli!

Znane są liczne przypadki, opisane w jednakowo brzmiących relacjach czy raportach, wyłaniania się UFO z wód mórz i oceanów.

Spotykano również niezidentyfikowane obiekty pływające i to jak pływające! Na przykład w 1964 roku w odległości około 500 mil na południe od Florydy wykryto tajemniczy podwodny obiekt, poruszający się z prędkością 200 węzłów, czyli około 370 kilometrów na godzinę! Fakt ten nie ulega wątpliwości, został bowiem wykryty podczas manewrów morskich przez eskadrę trzynastu niszczycieli.

Niedawno zarejestrowano tajemniczy sygnał z oceanicznych głębin, a niektóre ekspedycje podwodne spotykały niewątpliwie sztucznie sporządzone, dziwne, szybko pływające obiekty.

O ile większość tajemniczych katastrof lotniczych da się zinterpretować istnieniem choćby tzw. rzek powietrznych, mini-cyklonów, czy też innych zjawisk zachodzących w atmosferze, o tyle większość tajemniczych przypadków znikania okrętów w rejonach tzw. „diabelskich trójkątów" w jakikolwiek racjonalny sposób wytłumaczyć nie można. Rejonów takich jest 12 (dwa z nich to bieguny), a wszystkie one układają się symetrycznie względem równika, zajmując obszar zamknięty 72 stopniem długości geograficznej, i we wszystkich tych rejonach występują trwałe anomalia magnetyczne, oraz wielka, 4—5 kilometrów licząca głębina oceaniczna. „Przypadkowo" w tych właśnie rejonach bardzo często pojawiają się niezidentyfikowane obiekty latające...

Nasze teleskopy i radioteleskopy od kilkunastu już lat penetrują wnętrza oddalonych od nas o miliardy lat świetlnych światła innych galaktyk i radiogalaktyk, badają widmo dawno nie istniejącego Wszechświata; jest to obraz tym bardziej nierealny, im dłużej biegnie w przestrzeni. Dopiero niedawno natomiast skonstruowano urządzenie zdolne fotografować dno oceaniczne do głębokości sześciu kilometrów!

Z całym więc przekonaniem można stwierdzić, że o wiele więcej wiemy o procesach przebiegających w wnętrzach odległych obiektów kosmicznych, aniżeli o tym, co dzieje się pod kilkukilometrową warstwą cieczy oblewającej ponad 3/4 naszej planety, choć człowiek zanurzył się już na głębokość 10.900 metrów.

18 LUTEGO 1944...

Dokończenie ze str. 1

deklaracja PPR stanowiła szeroką platformę dla porozumienia się tych sił, którym idea wolności i ludowładztwa była bliska. Przyjęty przez partię kierunek na ukształtowanie demokratycznego frontu narodowego przybrał realny wyraz w utworzeniu w 1944 r. Krajowej Rady Narodowej wraz z systemem rad terenowych. Na swym inauguracyjnym posiedzeniu KRN uchwaliła Statut Tymczasowy Rad Narodowych, w którym stanowiła, że władzę na obszarze całej Polski sprawuje w oparciu o system rad terenowych, składających się z demokratyczno-niepodległościowych organizacji i ugrupowań oraz osób cieszących się zaufaniem społeczeństwa.

Utworzenie konspiracyjnej Wojewódzkiej Rady Narodowej poprzedzone zostało zebraniem działaczy PPR i przedstawicieli partyzantki w nocy z 5 na 6 stycznia 1944 r. w leśniczówce w lasach kolechowickich. Celem spotkania było omówienie najważniejszych problemów związanych z organizacją lubelskiej WRN i Armii Ludowej. W naradzie uczestniczyli między innymi: M. Moczar — dowódca obwodu AL, J. Sławiński — sekretarz Komitetu Obwodowego PPR, J. Szymanek — dowódca Okręgu AL, B. Kwiatek — sekretarz Komitetu Okręgowego PPR, W. Bonat, K. Tkaczyk, B. Dąbrowski, J. Hołod.

Rezultatem tego etapu działań polityczno-organizacyjnych było zebranie przedstawicieli sił lewicy społecznej, do którego doszło 18 stycznia 1944 r. w domu chłopa — Ignacego Kasperczuka we wsi Rudka Kijańska. Wtedy właśnie powołano do życia pierwszą w okupowanym kraju konspiracyjną lubelską WRN oraz dokonano wyboru prezydium, w którego skład weszli: Kazimierz Sidor (ps. Kazik) jako przewodniczący, Zygmunt Goławski (ps. Leon) jako zastępca przewodniczącego, Bronisława Czarnota (ps. Sława) jako sekretarz, Ludwik Czugała (ps. Równy), Anna Gadzalanka i Aleksander Szymański (ps. Ali).

Powoływane w całym kraju rady narodowe delegowały swych przedstawicieli w skład Krajowej Rady Narodowej. Lubelska WRN wydelegowała na członków KRN Kazimierza Sidora, Pawła Dąbka i Mariana Czerwińskiego.

Jak wynika z protokołów, konspiracyjna lubelska WRN odbyła cztery posiedzenia (18.II., 7.III., 13.IV., i 25.VI. 1944 r.), na których przewijały się głównie trzy sprawy: mobilizacja społeczeństwa do walki zbrojnej z okupantem niemieckim, przygotowanie rad narodowych do wypełniania zadań w wyzwolonej Polsce, podejmowanie wysiłków na rzecz zaprzestania bratobójczych walk.

Dziełem PPR i konspiracyjnej WRN było zorganizowanie na Lubelszczyźnie Armii Ludowej, w której skład weszły oddziały Gwardii Ludowej, Batalionów Chłopskich oraz innych ugrupowań bojowych.

Na swym pierwszym, organizacyjnym zebraniu lubelska Wojewódzka Rada Narodowa uchwaliła także deklarację, w której m. in. czytamy:

Zbroczona krwią Narodu Polskiego i zdeptana przez zbrodniczego okupanta hitlerowskiego Ziemia Lubelska z radością wita powstanie Krajowej Rady Narodowej i inicjatywę tworzenia takichże rad terenowych [...] Wojewódzka Rada Narodowa podkreśla, że dla Polski, która idzie, nie ma innej drogi rozwojowej poza drogą demokracji. Zebrani na plenarnym posiedzeniu Wojewódzkiej Rady Narodowej postanawiają dołożyć wszelkich starań, nie żałując trudu i wysiłku, by zorganizować wszystkie siły Narodu Lubelszczyzny do wywalczenia Wolnej, Suwerennej, Niepodległej Polski Ludowej.

Lubelski Komitet Obwodowy PPR, jak i podległe mu komitety okręgowe, stawiały przed członkami partii zadania organizowania rad narodowych. *Należy starać się* — głosił komunikat nr 3 Lubelskiego Okręgu Komitetu PPR adresowany 5 maja 1944 r. do wszystkich sekretarzy OK Lubelskiego nr 5 — *aby do RN weszli przedstawiciele innych organizacji politycznych i bezpartyjni uczciwi demokraci, którzy zgadzają się współpracować z nami na platformie Manifestu Krajowej Rady Narodowej oraz grupy inteligencji zawodowej, które zajmują czynną postawę w walce z okupantem. Dążyć do tego, aby w RN skupić najlepszych, najdzielniejszych i najbardziej oddanych sprawie niepodległości kraju obywateli. Unikać ludzi, którzy nie umieją przestrzegać zasad konspiracji. Organizatorzy, którzy ze względu na zbytnią gorliwość w stosunku do własnej partii chcieliby wyeliminować przedstawicieli innych kierunków, działaliby na szkodę Rad Narodowych. Bo tylko RN oparte na szerokiej podstawie demokratycznej mogą zyskać szacunek i autorytet w społeczeństwie. Tylko takie RN będą zdolne wypełniać swą rolę.*

Trzon kadrowy konspiracyjnej WRN i rad narodowych niższych stopni stanowili w większości żołnierze podziemnego frontu walki z okupantem.

Coraz częściej i na coraz większą skalę rozniecane były walki bratobójcze. Stąd też sprawa ich zaniechania stanowiła przedmiot szczególnej uwagi WRN. Na drugim posiedzeniu Rady (7. III.1944 r.) Kazimierz Sidor oświadczył: *Organizacje reakcyjne współpracują z okupantem w dziele wyniszczenia elementów postępowych. Wielu ludzi z PPR i działaczy Stronnictwa Ludowego zginęło z ręki skrytobójców, bądź zostało wydanych władzom hitlerowskim.* W związku z taką sytuacją konspiracyjna WRN nawoływała, aby *za wszelką cenę nie dopuścić do walk bratobójczych: nie zabijać ludzi za przekonania ideowe a tylko za robotę szpiegowską i stwierdzoną denuncjację; każdy wyrok śmierci umotywować; do osądzania winowajców ustanowić sądy ludowe.*

Siły reakcji, inspirowane przez emigracyjny rząd londyński, widząc wzrastające wpływy społeczne polskiej lewicy (powstanie KRN, AL, rad narodowych), kierowały broń przeciwko niej. Sytuacja była tak napięta, że swoje trzecie posiedzenie (13.IV.1944 r.) WRN poświęciła prawie w całości ocenie sytuacji wewnętrznej na Lubelszczyźnie. W protokóle tego posiedzenia czytamy: *Każdego obywatela Polaka, który żąda sprawiedliwości gospodarczej, społecznej i politycznej, który ośmielił się do bezwzględnej walki z hitlerowskim wrogiem — nazywa się komunistą, obcym agentem i niszczy się go jako bandytę lub podstępnie sprzedaje okupantowi. Do wykonywania zbrodniczych wyroków reakcja polska popiera i utrzymuje specjalne bandy zorganizowane w tzw. Narodowe Siły Zbrojne (NSZ), które w potworny sposób mordują partyzantów z Armii Ludowej, członków Partii Robotniczej, ludowców postępowych lub ich rodziny.*

Z chwilą, kiedy prawdziwa demokracja polska zorganizowała się w rady narodowe, akcja mordów bratobójczych dochodzi do szczytów okropnego barbarzyństwa, bo już nie strzela się przeciwników politycznych, ale morduje się w straszliwy sposób przez bicie, katowanie, odcinanie uszu, nosów, wydłubywanie oczu itp. Taką straszliwą śmiercią zginął dowódca grup partyzanckich „Błyskawica" (Feliks Kozyra), przy tym szereg postępowych działaczy ludowych i demokratycznych zostało wydanych jako bandyci w ręce okupanta hitlerowskiego. Zbrodnie bratobój-

Kamena str. 4

Jedna czwarta trzeciej planety Słońca to powierzchnia ciała stałego: ląd — nasz świat, reszta to ciecz czyli świat, w którym nie jesteśmy zdolni żyć. Co dziesięć metrów w głąb ciśnienie wody rośnie o jedną atmosferę, dochodząc na większych głębokościach do fantastycznych wręcz wielkości: kilku ton na centymetr kwadratowy, a tam przecież istnieje normalne życie! Jedna więc tylko cecha fizyczna tamtego środowiska — ciśnienie — unicestwiłaby nas w ułamku sekundy, gdybyśmy pojawili się tam bez sztucznie sporządzonych zabezpieczeń.

W takich warunkach życie miało możliwość innego sposobu zapoczątkowania się aniżeli węglowy, czego dowodzi analiza ewolucyjna nieorganicznej reszty Si-Ca, zsynchronizowana ze stadiami ewolucji praoceanu. Pierwotne życie wydało owoc w postaci inteligencji, tym bardziej różniących się, im bardziej zróżnicowane były środowiska życia, w których te inteligencje powstawały, rosły i dojrzewały.

„Latające talerze", obiekty, które według zgodnej opinii specjalistów lotnictwa „właściwie wcale nie powinny latać" — latają. I to lepiej, aniżeli nasze najdoskonalsze aparaty latające, są bowiem wytworem cywilizacji, która „efektywnie wystartowała" przypuszczalnie znacznie wcześniej aniżeli nasza, cywilizacji żyjącej w środowisku ciekłym. Znamy tylko dwa sposoby, przy których użyciu organizmy tam żyjące zdolne są bezkolizyjnie przeniknąć ową „twardą i nieprzenikliwą" barierę, oddzielającą od siebie te dwa odmienne światy: zmieniając parametry swoich organizmów i dostosowując je do wymogów obcego środowiska, co czyni natura, lub poprzez wykonanie sztucznych osłon, w miarę skutecznie chroniących przed zabójczymi warunkami obcego środowiska, co zwykły czynić tylko siły, którymi steruje intelekt.

W tak odmiennych od siebie ośrodkach życia na jednej planecie mogą istnieć przez jakiś czas dwie praktycznie nieprzenikające się cywilizacje — dwa odmienne inteligentne rody!

Witold Wawrzonek

---

cze reakcji polskiej osłabiają czynną walkę z hitlerowskim wrogiem, wprowadzają zamęt i nienawiść w społeczeństwie polskim, doprowadzają do wojny domowej. Wszystko to wykorzystuje wróg hitlerowski.

Można by przytoczyć długą listę nazwisk działaczy rad narodowych, którzy polegli z rąk reakcji. Od kul prawicowego podziemia polegli m. in. Wacław Bonat — członek WRN, Stanisław Gomoła — członek GRN w Mysłowie, Tadeusz Jóźwicki — przewodniczący GRN w Gorzkowie, Franciszek Kaper — członek PRN w Biłgoraju, Ignacy Gadzała — członek PRN w Lublinie, Józef Kielb — członek PRN we Włodawie, Włodzimierz Zieńczuk — członek MRN w Białej Podlaskiej.

Lubelska WRN, organizując siły zbrojne i walkę przeciwko okupantowi, przygotowywała się jednocześnie do zadań, jakie miała wypełniać po wyzwoleniu kraju spod okupacji hitlerowskiej. Na swym kolejnym, czwartym posiedzeniu (25.VI.1944 r.) WRN utworzyła koła: rolnicze, samorządowe, łączności, naukowo-oświatowe, prasowo-wydawnicze, finansowe, administracyjne i bezpieczeństwa. Owe koła stanowiły zalążki późniejszych wydziałów Rady.

Mimo okrutnych represji okupanta hitlerowskiego, mimo walk bratobójczych pod koniec sierpnia 1944 r. w Lubelskiem istniało 11 powiatowych rad narodowych i dwie miejskie: w Chełmie i Lublinie. Czołową rolę w organizowaniu tych organów na terenie Lubelszczyzny odegrali: K. Sidor, Z. Goławski, A. Gadzalanka, J. Sławiński, A. Szymański, L. Czugała, B. Czarnotówna, W. Bonat, B. Kwiatek, M. Czerwiński, M. Markiewicz, B. Pawłowski, P. Dąbek.

W początkowym okresie Polski Ludowej Lublin był siedzibą władz — Krajowej Rady Narodowej, Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, a następnie Rządu Tymczasowego. Fakt ten nie pozostał bez wpływu na Wojewódzką Radę Narodową. W jej posiedzeniach brali często udział przedstawiciele KRN i PKWN. Np. na sesji WRN, która obradowała w dniach 30. VIII—1 IX 1944 r., referat na temat: „Zadania i zakres działania rad" wygłosił przewodniczący KRN, Bolesław Bierut.

Władysław Kucharski

Z OBRAD KONFERENCJI SAMORZĄDU ROBOTNICZEGO

Wiedzą jak robić buty

Tadeusz Jasiński

SALA, oprócz aktualnej dekoracji nad stołem prezydialnym, zachowała sylwestrową, bo karnawał w tym roku długi. Uczestnicy obrad także ubrani odświętnie. Okazja jest zresztą również odświętna, ponieważ Konferencja Samorządu Robotniczego sumuje dokonania minionego i przyjmuje zadania nowego roku. W wypowiedziach wyczuwa się umiarkowane zadowolenie i wstrzemięźliwy optymizm. Lubelskie Zakłady Przemysłu Skórzanego im. Mariana Buczka swoje zeszłoroczne zadania wykonały, a nawet nieznacznie przekroczyły. 4.100 Polaków mogło dodatkowo włożyć ich obuwie robocze i domowe. Jest to osiągnięciem lubelskich garbarzy i wytwórców butów oraz pracowników bychawskiego oddziału, szyjących obuwie tekstylne.

Właśnie miniony rok nastręczał tych trudności tak wiele, szczególnie w ostatnim kwartale, gdy w dodatku część maszyn trzeba było zatrzymać z powodu reżimu oszczędnościowego energii elektrycznej. I mimo tych trudności, pomimo przeszkód zdawałoby się niekiedy nie do pokonania, okazało się w całym 1978 roku możliwe uzyskać ponadplanową wartość produkcji w wysokości dwu milionów siedmiuset tysięcy złotych. Jedynie lubelskim garbarniom zabrakło siedemdziesięciu tysięcy, chociaż wyprawiły dodatkowo cztery tysiące siedemset metrów kwadratowych skór miękkich, co umożliwiło kaletnikom z Lubartowskiej wykonać sporo ponadplanowej galanterii. Straty wynikły właśnie z niższej jakości tego surowca, a co za tym idzie, także i półprodukt okazał się gorszy niż powinien.

Dyskutujący o żywotnych sprawach swoich zakładów robotnicy i inżynierowie powiedzieli sobie z zadowoleniem, że reklamacje były mniejsze o 34 i pół procenta niż w roku 1977 i dotyczyły jedynie wyrobów tekstylnych, bo trudno przesadnie się martwić owymi dwunastoma parami butów skórzanych, które odbiorca — zresztą niezwykle wymagający — zakwestionował. Przejmowano się jednak i troskano, jak w rozpoczętym roku uczynić dalszy postęp jakościowy w Bychawie oraz w lubelskich garbarniach, a równocześnie nie obniżyć wyników w miejscowym zakładzie obuwia. Krytyczne uwagi części klientów budziły ambicje pracowników bychawskiej filii — o czym zresztą ich przedstawiciele mówili w dyskusji — zmuszały do ostrzejszej kontroli jakości, mimo to ponad dziesięć tysięcy zareklamowanych przez handel par musi niepokoić. Nadto załodze zależy także i na tym, aby nie popsuć sobie dobrej marki u bezpośrednich odbiorców hurtowych, jak i w handlu wewnętrznym, gdy chodzi o obuwie skórzane. A przecież nie wszystko zależy od niej samej, powiedzieli to wyraźnie. Brakowało niekiedy transparentu falistego, styrogumu, papieru krzemiennego, spodów „wibram" do butów o średnich rozmiarach, klejów, drobnych materiałów technicznych a transport utrudniała niemożność nabycia części zamiennych do samochodów. Dotkliwie dał się też odczuć niedobór czegoś w rodzaju przysłowiowej szewskiej dratwy i igły, mianowicie drutu śrubowego z Gliwic. Odbiorcy chwalą sobie właśnie to, że lubelski zakład nie skleja spodów z główną częścią buta, ale łączy je tradycyjnie wspomnianym drutem. Taka podeszwa nie ma prawa się oderwać, zelówka nie rozdziawi ze zdziwienia gęby na świat. Robią tu bowiem buty rzeczywiście „nie do zdarcia". Tak, ale wspomniane surowce i półprodukty dostarczyć mają kooperanci, tego na miejscu się nie wytwarza, to już od załogi i dyrekcji nie zależy. Utrzymać więc prawie całość produkcji zakładów w pierwszym gatunku, nie stracić zdobytego znaku „1" nie jest, jak widać z powyższego, wcale łatwo.

Wszystko to pozwoliło mi napisać, że radzący wypowiadali się raczej w tonie umiarkowanego zadowolenia i wstrzemięźliwego optymizmu. Tak, bilans ogólny jest dodatni, ale... Gospodarska to była dysputa, rzeczywiście, taka być powinna, choć na mój gust, także i „u Buczka" za mało robotników uznało za konieczne się wypowiedzieć. Uczestniczyłem w poprzednich latach w podobnych konferencjach samorządu robotniczego w innych przedsiębiorstwach. Na jednej z nich np. zabierało głos aż siedemnastu przedstawicieli dyrekcji (wicedyrektorzy i wszyscy kierownicy działów oraz służb), a robotnik żaden. Tyle tam przedstawiono mądrości technicznych i ekonomicznych, w dodatku dość zawile i rozwlekle, iż ludzie z bezpośredniej produkcji — zmęczeni tym wszystkim i onieśmieleni zapewne — podnosili ręce, ale tylko w momentach głosowania.

Dlatego mam podstawę uznać konferencję w Zakładach im. M. Buczka za przygotowaną lepiej i dobrze zorganizowaną. Referat dyrektora naczelnego, Tadeusza Olejarza, był stosunkowo krótki, a nade wszystko klarowny, zarówno w problematyce ekonomicznej, jak i technicznej. Znalazło się w nim miejsce nie tylko dla produkcji, ale i dla całokształtu stosunków wytwórczych, a więc również dla człowieka i jego najżywotniejszych potrzeb. Jeszcze krócej trwał koreferat prezydium Samorządu Robotniczego, przedstawiony przez sekretarza Rady Zakładowej Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego, Bolesława Szymczaka. Zastępcy dyrektora i inżynierowie zabierali głos, owszem, ale krótko, rzeczowo, informacyjnie i problemowo, nie przedstawiali długich dysertacji. Dlatego też odczuwało się lepiej w tej debacie to, czym załogi żyją w rzeczywistości, a głosowania nie miały charakteru tylko formalnego. Mimo że sporo osób z bezpośredniej produkcji się wypowiadało, nadal twierdzę, że robotnicy nie wykorzystali dostatecznie tych możliwości, jakie stworzyli im organizatorzy KSR. Wykrawacz skór twardych z garbarni, Tomasz Garczyński problem ten określił następująco:

— Na zebraniu ludzie się tak nie wypowiedzą, jak przy warsztacie pracy i w czasie przerwy śniadaniowej, no, tak, z bliska: człowiek do człowieka. W tych okolicznościach lepiej nam się składa mówić.

Być może, że Konferencja Samorządu Robotniczego powoduje inne zachowanie, rodzi uczucie, że człowiek znalazł się nagle jakby w małym parlamencie zakładowym i że ten parlament zobowiązuje do pewnego umiarkowania w wypowiedziach, okrąglejszych zdań, uczeńszych wywodów. Jak się jednak już rzekło, atmosferę stworzono właściwą, a ostatecznie efekt dyskusji leży nie w jej ilości, lecz sensowności. Zresztą właśnie ci z hal produkcyjnych, którzy zabierali głos w tej debacie nad referatami i sytuacją w przedsiębiorstwie, bynajmniej ust w ugrzeczniony kształt nie formowali, ale mówili o tym, co rzeczywiście gnębi i przejmuje ich samych i współtowarzyszy pracy. Sięgali do myśli XIII plenum Komitetu Centralnego PZPR — zarówno do przesłanek z jego części gospodarczej, jak tej dotyczącej samego człowieka, jego postawy ideowej, a stosunków międzyludzkich w zakładach w szczególności. Dlatego że — jak określił jeden z robotników — jest jeszcze sporo cwaniaczków, którzy małym wysiłkiem pragnęliby osiągnąć zbyt wiele korzyści. „Jeżeli nikt nie będzie myślał tak tylko, aby od siebie robotę odepchnąć — dopowiedział inny mówca — to już z tego samego będzie dobrze".

Zastanawiano się nie tylko nad rolą całej załogi i najlepszych zespołów ludzkich. Mówiono również o roli jednostki w grupie, gdzie czynności wzajemnie się zazębiają, warunkują prawidłowy przebieg pracy. Choćby w garbarniach. Mistrzowie to wiedzą. Wychowują, uczą, ale i pilnują. Ktoś skarżył się, że mogą być przez skrytykowanych nielubiani, choć zaraz dodał: „Nie po to jesteśmy, aby nas lubiano ale by dobrze pokierować robotą. Wystarczy, że z tego będzie poważanie u dobrych pracowników". Są to więc kwestie postawy, ale i wychowawcze: jednostki wobec zespołu oraz grupy wobec poszczególnych jej członków. A psychologiczne?

Jeden z inżynierów mówił o nich nie tylko w odniesieniu do ludzi — robotników i organizatorów produkcji — ale również w związku z trudnościami, jakie człowiek na jakimkolwiek kierowniczym stanowisku musi pokonywać. Wydaje się nieraz że wyrósł przed nim mur nie do przebycia. No, choćby wówczas, gdy do Gliwic pojedzie samochód po ów nieszczęsny i dość unikalny drut śrubowy, a kierowca dzwoni stamtąd, że nie dziś, ale dopiero jutro ładunek będzie mógł odebrać, bo nie dają. Nie otrzyma trzech ton, ale dwieście kilo. Tymczasem resztę tego spoiwa zużytkuje już następna zmiana po połowie godzin pracy, a dratwą ani klejem przecież go zastąpić nie można. „Jak się inżynier tak usiepie w działaniach bezcelowych, to mu w końcu nie wystarczy sił i czasu, aby z ludźmi porozmawiać jak człowiek z człowiekiem. A przecież tak nie może być. Zmęczenie i zdenerwowanie nie są dobrymi doradcami, a myśleć tu trzeba, zastanawiać się z innymi, gdy życie zgotuje taki pasztet. Kiedy jest na to czas?"

Konkluzja, jaką usłyszałem? Czas znaleźć się musi. Tymczasem dynamika produkcji towarowej została przez posłów załogi ustalona dość wysoko, wzrost ma wynieść 2,9 proc. i to właśnie da dodatkowe trzydzieści sześć tysięcy par obuwia. Pomocne w tym będą zakupy nowych maszyn i urządzeń, ale równie ważkim czynnikiem mają być lepsza organizacja pracy i wydajność oraz obniżka kosztów własnych.

Na koniec trzeba dodać, że dyskutanci wiązali problematykę produkcyjną z osobistym stosunkiem do niej. Myśl główna uchwały przedstawicieli załogi „Buczka" brzmi: zrobić w tym roku więcej, taniej i lepiej. A o to przecież chodzi.

Kamena str. 5

NA ŚCIEŻKACH POLSKICH KOMANDOSÓW (V.3)

Wigilia w Pescopennataro

Mirosław Derecki

ZBLIŻAŁY się święta Bożego Narodzenia (1943 r.) kojarzące się zawsze Polakom pod każdą szerokością geograficzną ze śniegiem, mrozem i choinką rozjarzoną płomykami świeczek, z łamaniem się opłatkiem i ciepłem domowego zacisza, z „pokojem ludziom dobrej woli". Może dlatego tym ciężej było chłopcom w zielonych beretach przemierzać codziennie skaliste ścieżki Abruzzów omiatanych wichrami, rozmokłych w zimnej mżawce. Z zawieszonego niby orle gniazdo nad doliną Sangro, częściowo zburzonego Pescopennataro, schodziły codziennie ku szumiącej w dole rzece polskie patrole. Pierwszy raz od kilku lat mogli żołnierze przypatrzeć się Niemcom panoszącym się na drugim brzegu.

16 grudnia o godz. 4.30 rano wyszedł z Pescopennataro w rejon wioski Borello patrol pod dowództwem porucznika Stefana Zalewskiego. Kiedy znaleźli się na wysokości zabudowań, niebo zaczęło się rozjaśniać, przeciwległe stoki górskie stanęły wyraźnie w promieniach wschodzącego słońca. Po drugiej stronie rzeki, w miejscowości Quadri, uniosły się z kominów dymki, na drodze pojawiło się kilku niemieckich żołnierzy. Porucznik Zalewski ukryty wśród skał zawisłych nad Borello przyglądał się uważnie ruchom Niemców. Doskonała widoczność pozwalała mu na wykonanie dokładnego szkicu dla artylerii. Wtedy właśnie przyszło mu być świadkiem zdarzenia, które zapamiętał na całe życie: *Za rzeką, z domu leżącego około czterystu metrów przed nami wychodzą trzy postacie. Idą jakby niedbale, zatrzymują się, to znów ruszają dalej. Już widać je dobrze — dwie w wojskowych mundurach — trzecia to kobieta. Czy młoda i ładna? — trudno z tej odległości osądzić, w każdym razie porusza się zwinnie i lekko. Idą w stronę rzeki — może przeprowadzają ją przez pola minowe, a może chcą przeprawić na naszą stronę? Są już nad samym brzegiem. Wtem zdumione oczy rejestrują nagłe szarpnięcie, i huk jakiś rozlega się echem. Z pistoletu trzymanego w dłoni przez Niemca unosi się w górę leniwie wąska smuga siwego dymu. Ciało kobiety z rozkrzyżowanymi rękoma obija się o występy skarpy, leci bezwładnie w dół i drga jeszcze konwulsyjnie na szarym, lodowatym kamieniu. Dwie krótkie serie z pistoletu maszynowego dokańczają dzieła [...] Widzę oczy towarzyszy zbiegające na linię celownika... Nie!... Nie wolno!... Coś chwyta za gardło, jakiś skurcz obrzydzenia i nienawiści dławi i dusi. Trzeba się jednak powstrzymać od wymierzenia doraźnej sprawiedliwości za ten mord i gwałt dokonany ohydnie na naszych oczach. [...] Nad nami, furkocząc, poczynają przelatywać pociski, eksplodując gdzieś w dali głuchą detonacją. Zaczyna się codzienna zabawa artylerii. [...] Wyjmuję szkicownik i poczynam powoli nanosić na plan położenie domku. To wszystko, co mogę dzisiaj zrobić...*

Następnego dnia kapitan Wood zaczyna się wstrzeliwać w domek za rzeką. Czyni to z wielką skrupulatnością i wyjątkowym zaangażowaniem. Powoli, metodycznie, z pociemniałą od gniewu twarzą, obramowuje budynek pióropuszami dymu i ognia. Ma przed sobą doskonały szkic wykonany przez porucznika Zalewskiego, a w uszach dźwięczy mu wciąż jeszcze opowieść dowódcy patrolu. Na wysuniętym daleko ku Quadri punkcie obserwacyjnym sierżant Gradowski widzi wyraźnie jak przerażeni Niemcy wybiegają, to znów wbiegają z powrotem do domku. Zupełnie stracili głowę. Aż wreszcie, kiedy znowu zniknęli we wnętrzu, na stanowisko artylerii idzie komenda: „Fire!". Z luf armatnich wylatują dwa pociski. Wyją przez chwilę nad doliną, a potem w miejscu, gdzie stoi domek, podnosi się wysoki gejzer ognia, lecą w górę kamienie i belki. Kiedy opada dym, stok góry jest pusty i martwy. Domek zniknął. Kapitan Wood podnosi słuchawkę polowego telefonu i mówi krótko do dowódcy baterii: "Two direct hits — well done!" (Dwa w cel. Dobra robota!).

18 grudnia przed południem dociera do Pescopennataro szlakiem mułowym reszta kompanii. Przyszli akurat w porę, bo z dolin zaczyna podnosić się mgła. Jest coraz bardziej gęsta, tak że o pierwszej po południu można zobaczyć człowieka ledwie na parę kroków. Niełatwą będzie miał teraz drogę angielski pluton wracający do Capracotty. A tymczasem polska kompania, obejmująca wioskę w całkowite władanie, zakłada kwatery w jako tako ocalałych domach i w jednym z dwóch kościołów, a szef, Kazimierz Mizera, szykuje miejsce pod oddziałową kuchnię.

We mgle sunie ku Borello patrol podchorążego Abrahama Jedwaba, później patrol rotmistrza Wołoszowskiego. Tam spotykają kilku Włochów, którzy żywo gestykulując wskazują na północny wschód. To specjalna „delegacja" mieszkańców miasteczka Villa S. Maria wysłana przez tamtejszego szefa włoskiej policji. Proszą o pomoc i ochronę przed Niemcami, którzy buszują tutaj bezkarnie prawie codziennie plądrując domy i rabując co się da. „Niech waleczni polscy żołnierze czym prędzej podbiją Villa S. Maria!".

Rotmistrz maszeruje niezwłocznie w kierunku miasteczka z nadzieją wzięcia języka, ale jedynym jeńcem jest... kobieta, której nikt z miejscowych nie zna, natomiast Włosi podejrzewają ją o współpracę z Niemcami. Dobrze, niech się nią zajmie w sztabie dywizji ich „inteligentny" — Intelligence Officer. W Villa S. Maria rotmistrz Wołoszowski uzyskał szereg cennych informacji o nieprzyjacielu. Wskazano mu nawet miejsce postoju dowództwa niemieckiego pułku broniącego tego odcinka.

Samodzielna Kompania Komandosów zapadła w Pescopennataro i tylko rotmistrz Andrzej Bohomolec tkwił przy dowództwie odcinka w Capracotta. Właściwie to rotmistrz „tkwił" bezustannie w baonowym łaziku lub w lekkim wozie pancernym 56 angielskiego Pułku Rozpoznawczego, przemierzając okoliczne dostępne drogi w poszukiwaniu Włochów dobrze orientujących się w terenie. On też był pierwszym oficerem, który przesłuchał dziwnego przybysza do dowództwa, twierdzącego, że ma do przekazania niesłychanie ważną wiadomość. Oto niedawno zbiegł od Niemców, którzy chcą zaatakować Pescopennataro, a jego pragnęli wykorzystać jako przewodnika. Oddział niemiecki to strzelcy alpejscy. Jest ich około 250. Przybyli ciężarówkami do Gamberale po drugiej stronie doliny. Za parę godzin, nocą z 21 na 22 grudnia uderzą na wioskę.

Atak niemiecki nie był więc zaskoczeniem. Już 21 grudnia o godzinie 3.20 nad ranem, porucznik Zalewski posłyszał w swej kwaterze strzały z broni maszynowej dobiegające z przedpola wioski. Błyskawicznie porwał lkm, dwa pistolety maszynowe i wraz z trzema ludźmi popędził w kierunku strzałów. W ciemności natknęli się na biegnącego wartownika, podchorążego Jedwaba. Broczył krwią, dostał dwie kule w rękę. Starszy strzelec Kowalski strzelał tymczasem zza murku do gromadki postaci w charakterystycznych hełmach, przebiegających wzdłuż domów stojących na skraju Pescopennataro.

Zaszczekały polskie tommy-guny, zahuczał elkaem porucznika. Niemiecki patrol rzucił się w ciemność, przepadł we mgle. Kowalski zdążył naliczyć osiem postaci; wydawało mu się, że napastnicy ciągnęli jednego ze swoich po ziemi.

W ciągu trzech minut cała kompania jest już na nogach. Kapitan Smrokowski ogłasza stan gotowości bojowej. Strzelcy zajmują stanowiska, sierżant Teperek pieczołowicie opatruje moździerze. Kiedy nastąpi drugie uderzenie? Ale atak nie ponawia się. Do świtu, a potem przez cały prawie następny dzień, panuje spokój. Niemcy zniknęli. Dolina Sangro jest pusta i cicha jak co dzień.

Ale o 17.30 odzywa się w słuchawkach Jerzego Cieniewicza buczek radionadajnika z Capracotty. Dowództwo odcinka zawiadamia, że spodziewany jest atak 250 strzelców alpejskich na Pescopennataro. Są uzbrojeni podobno w cekaemy, a każdy z żołnierzy ma duży zapas granatów. „Dacie radę, czy wycofujecie się od razu?" — zapytuje major Good. „Spróbujemy dać radę" — odpowiada kapitan Smrokowski. Zresztą nie może postąpić inaczej. Właśnie przed kilku godzinami wizytował kompanię dowódca 2 Special Service Commando Brigade, brygadier Tom Churchill i wyraził się pozytywnie o morale i postawie bojowej żołnierzy. Jak tu teraz nagle, bez walki, ustąpić przeciwnikowi placu? A zresztą skąd ta absolutna pewność, że Niemcy uderzą?

Zapada wczesny zmrok. I nie trzeba długo czekać, aby przekonać się, że indagowany przez rotmistrza Bohomolca przewodnik miał rację: o 19.30 na północnym i północno-wschodnim skraju Pescopennataro padają pierwsze strzały. Potem zaczynają grać karabiny maszynowe, pękają granaty. Niemcy pchają się w górę, prosto pod nasz ogień. Padają pierwsi ranni, powietrze jest pełne huku, dymu i ognia, nad górskimi szczytami wznoszą się ze świstem ogniste węże rakiet oświetlających. W pierwszym plutonie jest pierwszy ranny: strzelec Kulej dostał postrzał w pośladek; o własnych siłach wycofuje się do punktu opatrunkowego. Kontuzjowany jest starszy strzelec Głowiński. Starszy strzelec Welcer z drugiego plutonu chwyta się nagle za rękę, później pada na ziemię. Dostał jeden pocisk w dłoń, drugi w nogę — doktor Switalski będzie musiał po bitwie amputować mu kciuk. Padają Niemcy, są wśród nich zabici i ranni, ale nie ustępują. Po polskiej stronie sierżant Teperek wali na przedpole ogniem prostopadłym, zza wzgórz podrywa się bas brytyjskiej artylerii. Przed Pescopennataro wyrasta czarna ściana wybuchów. To kapitan Wood kieruje ogniem zaporowym. Walą też angielskie pociski w niemieckie odwody, w przejścia na rzece Sangro, w drogi wiodące ku dolinie z Gamberale. Aż wreszcie nieprzyjaciel daje za wygraną, rusza do odwrotu. Artyleryjska kanonada cichnie dopiero około trzeciej nad ranem 22 grudnia. Rano panuje już cisza zmącona tylko w Pescopennataro krótką komendą, lub stłumionym szczękiem broni: o 7.15 wychodzą na wszystkie strony polskie patrole rozpoznawcze.

W walce zginęło podobno 20 Niemców, wielu było rannych. Polacy mieli tylko trzech rannych, w tym jednego — ciężko.

Tego samego dnia do oddziału przychodzi pismo gratulacyjne od dowódcy dywizji:

Dowódca Oddziału Polskiego

Z okazji Pańskiego pierwszego starcia z przeważającym nieprzyjacielem, wyrażam gorące podziękowanie Panu, Pańskim Oficerom i Szeregowym za zdecydowane i dobre wykonanie zadania i utrzymanie powierzonego odcinka. Wasze działanie jest zgodne ze znakomitą tradycją Armii Polskiej i Brytyjskiej, to też w imieniu żołnierzy 78 Dywizji przesyłam Panu podziękowanie za dobre rezultaty walki.

W polu, 22.XII.1943 r.

(—) C. A. Keightley, gen. major
Dowódca 78 Dywizji.

•

Patrol posuwał się ostrożnie — pisze w swoim wspomnieniu Jerzy Cieniewicz — *ubezpieczając się bacznie. [...] Dziwny to był patrol — z przodu i z tyłu jak zwykle szły ubezpieczające grupki z tommy-gunami, grupa środkowa jednak dźwigała, miast broni, trzy olbrzymie choinki. Jutro wigilia — niewielu chłopców na niej będzie, bo trzeba przecież obsadzić placówki i wysłać patrole — jednak każdy pluton, czy to mieszkający w zrujnowanym kościele, czy też w zrujnowanych domach, chciał mieć swoją choinkę..*

W dzień wigilijny czekała na komandosów niespodzianka: *Około południa nasz mały garnizon* — notuje por. Zalewski w dzienniku bojowym — *zostaje wzmocniony przez oddział angielski, około 120 ludzi, pod d-twem majora Irlandczyka. Około 30—40 proc. oddziału stanowią Irlandczycy. [...] Godz. 15,00, w moim plutonie obchodzimy wigilię Bożego Narodzenia.* A więc nie są już sami. Odparli silne natarcie, mówiło o nich wczoraj radio BBC jako o bohaterskich obrońcach, przyszłość rysuje się — przynajmniej dzisiaj — w świetlistych barwach. Porucznik Czyński pisze w swym dzienniku *24.XII.43., g. 18,00 [...] Obchód Wilji wieczerza, wzmocnione jedzenie, łyk whisky i łubek wina. Życzenia składane już na kontynencie (znów), może ostatnie poza krajem. Duch bardzo dobry, nastrój poważny, skupiony lecz pogodny.*

Płynęły na radiowych falach serdeczne życzenia świąteczne do 78 Dywizji, do dowództwa odcinka, do artylerzystów i do Belgów marznących w ruinach San Pietro. Nad górami stała czarna noc i tylko gdzieniegdzie zamigotała gwiazda. Bo warunki atmosferyczne pozostawały „bez zmian" — mgła w postaci drobnego deszczu.

W kościele, gdzie stacjonował pierwszy pluton, poczęli śpiewać kolędy. [...] Wiatr przyniósł melodię „Bóg się rodzi". Melodia wprawdzie nie harmonizowała z brzękiem gitary, ale śpiewający nie odstępowali od swego. Niezawodnie już się z czupryn kurzyło. Ktoś wybiegł, zakaszlał, ktoś inny wołał: Adas... Staszek!... i znikał w drzwiach. [...] Wartownik uśmiechnął się do siebie, poprawił kołnierz i rozejrzał się badawczo wokół. Nagle drzwi skrzypnęły i na dwór wyszedł „Stary". [...] — Życzę wam na tym posterunku byśmy w przyszłym roku w lepszych warunkach składali sobie życzenia — rzekł.

A oddziałowy lekarz, porucznik Bolesław Switalski, człowiek nienawykły do łatwych wzruszeń, siedział gdzieś w kącie zrujnowanego domu, i przy świetle naftowej lampki notował na kawałku papieru słowa kolędy, którą mu dyktowało serce:

Wśród nocnej ciszy, wskroś czarnych godzin
Przez mgłistą trwogę ku dołowi brodzim [...]
Przebacz nam, Jezu, za mroczne twarze,
I że Ci piosnki nie niesiem w darze;

Zbliż swą dłoń do piersi naszej,
Tam Ci wszystko wytłumaczy
Jej pospieszny szept.

•

10 stycznia 1944 r. Samodzielna Kompania Komandosów odeszła z Pescopennataro. Jej wartość bojowa została sprawdzona; miała teraz wejść, w składzie 2 Special Service Brigade do krwawych walk nad rzeką Garigliano...

Kamena str. 6

MOTORYZACJA

Jakby trochę lepiej?

Maciej Podgórski

USŁYSZAŁEM opinię u źródeł kompetentnych że w handlu samochodami od przynajmniej czasem głowa boli że „Polmozbyt" sprzedaje za dużą ilość marek samochodów (nie samych pojazdów oczywiście!) stając się w tej dziedzinie nie nazbyt „polmo" zresztą Miałoby to mieć przykre skutki dla zaopatrzenia w części zamienne i akcesoria oraz dla gwarancyjnej, a szczególnie pogwarancyjnej obsługi pojazdów.

Lecz przyjmując tę sytuację z dobrodziejstwem inwentarza można się zastanawiać co dałoby się zrobić w dużych miastach żeby złagodzić jej następstwa dla użytkownika samochodu W Szczecinie na przykład jak słyszę stacje obsługi się specjalizują obsługując nie więcej niż po dwie marki

W Lublinie tymczasem odwrotnie Weźmy dwie największe stacje PZM robi fiata 125p i 126p ładę i zastawę „Polmozbyt" – oba fiaty ładę zaporożca, syrenę (oraz przekładki nadwozi wartburga w ramach tak zwanego pierścienia usług motoryzacyjnych dla stolicy) Samego „malucha" obsługuje w Lublinie co najmniej cztery stacje

W takiej wielomarkowej stacji wydłużają się czynności magazynowe (kwestia orientacji magazyniera w tysiącach rodzajów części — która do jakiej marki?), trudno specjalizować kadrę mechaników, wyposażać stanowiska napraw w narzędzia specjalistyczne wydłuża się też praca narzędziowni. Spada wydajność

W efekcie przedłuża się czas napraw, klient nieraz krąży między jedną stacją, gdzie zostawił samochód, a drugą, gdzie akurat w magazynie znajduje się potrzebny do reperacji detal W tym układzie można by się zastanowić czy specjalizacja stacji, choć zlikwiduje ich konkurencyjność nie jest jakimś wyjściem z generalniejszych kłopotów.

W połowie tego roku zostanie oddana do użytku druga obok istniejącej od lat stacja „Polmozbytu" w Lublinie Nowa inwestycja będzie się składać z dwudziestu stanowisk napraw mechanicznych oraz szesnastu stanowisk blacharsko-lakierniczych plus myjnia zmechanizowana Taki obiekt twierdzą fachowcy jest bliski optymalnemu ze względu na organizację pracy, dozór i zarządzanie, czego nie da się powiedzieć o wielkich centrach obsługi samochodów

Nowa stacja, choć nie ogromna, pozwoli lubelskiemu „Polmozbytowi" pomyśleć o częściowej specjalizacji usług motoryzacyjnych w mieście „Polmozbyt" nasz obejmujący zresztą działalnością pięć województw (cztery „lubelskie" oraz siedleckie) jest koordynatorem działalności usługowej w zakresie motoryzacji na podległym mu terenie, przydziela autoryzacje na poszczególne marki pojazdów dla wszystkich stacji obsługi Posiada więc możliwość wprowadzenia specjalizacji i zamierza ją spełnić aczkolwiek w związku z tym przyjdzie czas decyzji trudnych — komu zabrać komu dać? No i dla klienta nadejdą ciężkie próby jeśli on akurat od dawna przyzwyczaił się robić swój samochód u pana Zenka w tej jednej jedynej stacji a przyjdzie się przenieść do innej, gdzie przy naprawie samochodu asystować nie wolno i nie widzi się nawet mechanika, który zajmuje się naszym samochodem.

Ta ostatnia kwestia zresztą, pragnę zauważyć, nie jest bynajmniej jednoznaczna, choć „Polmozbyt" ma wyraźne zalecenie odgórne ograniczyć obecność klienta na stacji do niezbędnego minimum (ustalenia zakresu naprawy głównie)

Żeby izolować klienta od hali napraw, trzeba przede wszystkim mieć magazyn depozytowy dla przedmiotów znajdujących się w samochodzie Wtedy przedsięwzięcie omija pewien rodzaj potencjalnych konfliktów Potem dopiero można mówić, że się chce w konsekwencji uniemożliwić rozmaite niekonwencjonalne porozumienia klienta z mechanikiem Sytuacja staje się jakby wielostronnie czysta i anonimowa Do biura obsługi klienta wyprowadza się pracowników uprzejmych (co nie zawsze dotyczy mechaników na hali) Jeśli mi nawet wydadzą źle zreperowany samochód, to przynajmniej nie naubliżają. Ale może ja wolę mieć dobrze zreperowany pojazd kosztem utarczek słownych, bo jeszcze nie słyszałem, żeby mechanicy bili?

Zresztą pomysłowość ludzka nieograniczona, potrafi przeskoczyć najrozmaitsze izolacje z taką łatwością, jak się przeskakuje płot stacji obsługi w jedną czy drugą stronę. Ponadto klient asystujący przy naprawie pełni funkcję swoistej kontroli jakości roboty, a przy okazji uczy się i politechnizuje, życie poznając.

W ubiegłym roku na stacji „Polmozbytu" w Lublinie, może jak nigdy dotąd, dosyć rygorystycznie przestrzegano izolacji mechanika od klienta w przypadkach napraw poważniejszych (choć widywało się wyjątki) i działał depozyt Na tak zwanych liniach szybkich (mycie, smarowanie, wymiana oleju, regulacja, diagnostyka) już tego świadomie nie przestrzegano.

Chyba to jest jakieś wyjście, aczkolwiek wyznam, że sam ze swoim samochodem skłaniam się częściej ku stacji PZM, gdzie pozwalają mi widzieć, co się przy nim robi. Oczywiście ideałem byłoby, żebym sobie siedział w eleganckim biurze obsługi klienta, czytał gazety i popijał kawę, a od czasu do czasu spoglądał w monitor telewizyjny, oglądając trud mechaników przy moim samochodzie. Tylko kiedy my się takiego ideału dorobimy?

Klient, który nie ogląda naprawy swego pojazdu, musi mieć jakieś inne gwarancje, że zostanie ona wykonana prawidłowo, jeśli nawet ze względu na brak czy nierytmiczność dostaw części, nie szybko. W tym względzie warto poinformować społeczeństwo, czego dokonano w lubelskiej stacji „Polmozbytu" (i kilku innych stacjach „polmozbytowskich" w podległym lubelskiej dyrekcji terenie).

Wprowadzono organizację napraw według pomysłów szczecińskich Brygady pracują w układzie pionowym na zmianach Ludzie z określonej brygady przyjmują na przykład wóz do naprawy podczas pierwszej zmiany Jeśli nie skończyli, to na drugiej zmianie kontynuują tę robotę wprawdzie już inni pracownicy ale z tej samej brygady W ten sposób unika się ciągłego wytaczania i wtaczania samochodów na kanały i czyni odpowiedzialną za konkretny samochód konkretną brygadę, która

Fot. A. Polakowski

ma możliwość zadbać, żeby coś z naprawianego wozu się nie zawieruszyło.

Równocześnie przy obowiązującym systemie prowizyjnym (wynagrodzenie obliczone od sprzedanej robocizny), przed którym bronią się stacje innych jednostek gospodarczych, i przy rozliczaniu robocizny dla całej brygady, mechanikom zależy aby naprawa była wykonana szybko i nikt nie symulował roboty

Ponadto reklamowaną przez klienta naprawę musi brygada odrobić już za darmo i po godzinach pracy Jeśli klient jest uparty i domaga się zarejestrowania swej reklamacji, wówczas firma musi odprowadzić do centrali pięciokrotną wartość nie wykonanej robocizny I tu właśnie — w powiązaniu z poprzednimi posunięciami organizacyjnymi — występuje ten element dbałości o jakość napraw, zarówno ze strony dozoru, jak i bezpośredniego wykonawcy.

Bardzo to wszystko ładnie wygląda, jak się o tym pisze, ale faktem jest, że lubelski „Polmozbyt", (mający na swoim terenie osiem stacji obsługi samochodów) to jeden z trzech „Polmozbytów" w kraju, który wykonał w roku ubiegłym plan w zakresie robocizny w usługach motoryzacyjnych Postęp tym bardziej sympatyczny, iż plan roku ubiegłego był wyższy niż 1977, a za 1977 nie został zrealizowany. Szkoda tylko, iż pracę brygad w układzie pionowym wprowadza się przede wszystkim na stacjach „polmozbytowskch" funkcjonujących w obrębie pierścienia warszawskiego. Czyżby mieszkańcy innych rejonów byli gorsi?

Każdą zmianę organizacyjną można doprowadzić do doskonałości, której zresztą jeszcze nie osiągnęliśmy, i na tym koniec. Nie pomoże najlepsza organizacja istniejących stacji obsługi, jeśli wzrostowi pojazdów nie towarzyszyć będzie — prawda banalną — wzrost liczby stanowisk naprawczych, czyli nowych stacji.

Ale i w tej dziedzinie wieją z lubelskiego „Polmozbytu" wiatry jakby pomyślniejsze. Obok wspomnianej drugiej stacji w Lublinie w tym roku zostanie uruchomiona placówka w Białej Podlaskiej (może już w marcu) na 14 stanowisk napraw mechanicznych, przewidziana do dalszej rozbudowy. W połowie czerwca przewiduje się oddanie stacji w Siedlcach (20 stanowisk napraw mechanicznych, 16 stanowisk blacharsko-lakierniczych i myjnia). Pod koniec roku ukończy się budowę 14-stanowiskowych stacji w Zamościu i Chełmie.

Jeśli zważyć, iż ostatnio lubelski „Polmozbyt" posiadał osiem stacji (w tym trzy to właściwie niewielkie pawilony usługowo-handlowe o trzech stanowiskach naprawczych), i tak było w obu ubiegłych latach, to przyrost pięciu placówek w samym tylko roku bieżącym stanowi znaczną poprawę sytuacji. A zresztą trzeba wspomnieć o dwu placówkach przewidzianych i „zaklepanych" do rozpoczęcia w tym roku — Kraśnik i Mińsk Mazowiecki; nie mówiąc o projektowo zaawansowanych — (Puławach i Biłgoraju). Jak widać — coś się ruszyło! I trzeba mieć nadzieję, iż geografia tych inwestycji odpowiada największym skupiskom posiadaczy samochodów. Kolejna nadzieja dotyczy ewentualnej rozbudowy pionu wykonawstwa inwestycyjnego „Polmozbytu". Każda placówka, a będzie ich coraz więcej, po pewnym czasie „się lasuje", wymaga remontów budowlanych, i jak dziś szukać wykonawcy dla takich robót w systemie zleconym?

Tworzy się system organizacyjny preferujący dobrą i szybką robotę, powstaje coraz więcej placówek, gdzie można ów system realizować, są ludzie (aczkolwiek w stacjach obsługi załogi rotują bardzo) Da się powiedzieć z dozą pewnego optymizmu, iż jest lub niebawem będzie kim robić, będzie gdzie robić i będzie wiadomo, jak robić naprawy samochodów. Pozostaje kwestia, czym robić, która potrąca o nieśmiertelny problem braku części zamiennych.

— Jeśli do dużego fiata producent nie potwierdza na rok bieżący dostaw ponad dwustu trzydziestu pozycji, w tym takich „detali" jak mechanizm wspomagania układu hamulcowego, pompa sprzęgła, siłownik sprzęgła, przerywacz aparatu zapłonowego, włącznik elektromagnetyczny rozrusznika, uszczelka głowicy, to ja się zastanawiam, co mógłbym robić przy dużym fiacie, ewentualnie umyć samochód i podregulować? — powiedział mi kierownik jednej ze stacji obsługi. Pewno, że przetargi o pozycje deficytowe idą z producentem przez cały rok i w końcu on coś wydusi z siebie, ale jak w takich warunkach zapewnić rytmiczność napraw?

Z częściami do samochodów jest w Polsce sytuacja trochę podobna jak z mięsem i wędlinami Niby narzekamy na brak, przeklinamy, ale gdy przyjdą święta czy imieniny, to u każdego jakoś stół się ugina pod schabami i baleronami A samochodami j a k o ś jeździmy codziennie, j a k o ś załatwiając bendiksy i akumulatory.

Istnieje więc z pewnością problem dystrybucji części samochodowych. W lubelskim „Polmozbycie" usłyszałem pokrzepiającą nowinę, iż ostatnio uaktywnia się służba dyspozytorsko-informacyjna na szczeblu poszczególnych dyrekcji i samej centrali, która pilnie rozeznaje się w zapasach magazynowych na stacjach i w hurtowniach, tak aby można było dokonywać przerzutów. I dziś coraz częściej stacja obsługi samochodów zaopatrzona jest w teleks, którym się szuka po Polsce brakujących jej detali.

Pożyjemy, zobaczymy, czy to da jakieś sprawdzalne efekty, aczkolwiek byłbym tutaj optymistą raczej umiarkowanym Już więcej nadziei można wiązać z innym pociągnięciem. Przed targami krajowymi Poznań 1978 „Polmozbyt" przedstawił rzemiosłu listy asortymentowe, zapotrzebowując deficytowe części w poszczególnych markach samochodów. Na targach rzemiosło wystąpiło ze swoją ofertą. Niektórych propozycji (tłumiki, szczęki hamulcowe) „Polmozbyt" nie mógł przyjąć ze względu na rygory atestowe. Niektóre potrzeby „Polmozbytu" nie znalazły uznania u rzemieślników ze względu na trudności produkcyjne czy materiałowe. Ale wiele spraw udało się załatwić, a przede wszystkim został uczyniony ważny krok na drodze kontaktów sektora uspołecznionego z sektorem prywatnym, co pozwala z niejakim optymizmem patrzeć w przyszłość.

W każdym razie zapewniono mnie, że już niedługo „maluchy" po przekładce nadwozia nie będą wyjeżdżać ze stacji obsługi z brzęczącą i dziurawą tapicerką, albowiem udało się zakontraktować u prywatnych wytwórców spinki tapicerskie. Podobno na przykład załatwiona jest też sprawa przerywaczy zapłonu do wartburga... No i cała gama akcesoriów do różnych marek samochodów.

Takie jaskółki samochodziarze mogą powitać ze smakiem, choć to jeszcze nie wiosna. W ubiegłym roku zaczęła dojrzewać kwestia regeneracji części pochodzących z reperacji samochodów (dotąd owe detale na ogół składano na złom w stacjach obsługi). Coś ona długo dojrzewa ta sprawa! Może w końcu spadnie w glebę naszych realistycznych i cierpliwych oczekiwań?

Kamena str. 7

Nie umarł im w ustach

Maria Bechczyc-Rudnicka

PO raz pierwszy weszła na scenę Teatru im. J. Osterwy sztuka Witolda Gombrowicza. Zaczynam tedy swą relację wyznaniem, że wydarzenie to sprawiło mi niemałą przyjemność, albowiem przeczytawszy czterdzieści lat temu „Ferdydurke", zostałam na zawsze admiratorką twórczości autora owej odkrywczej powieści. I niech mi będzie wolno w tym charakterze powiedzieć też na wstępie kilka słów o moim „dojściu" do Gombrowicza.

A więc najpierw, jak się rzekło, „Ferdydurke". Wprawdzie nie wiedzieć czemu wymknęła się mej uwadze przed wojną „Iwona, księżniczka Burgunda", którą opublikował „Skamander" w 1938 r., za to po wojnie, istną ucztę zgotował mi rok 1957 przynosząc, oprócz „Ferdydurke" w wydaniu PIW, „Trans-Atlantyk" wraz ze „Ślubem" (wydanie „Czytelnika) i „Bakakaj" (edycja Wydawnictwa Literackiego), zbiór nowel, zawierający m. in. kilka opowiadań „Pamiętnika z okresu dojrzewania" i jedno z londyńskich „Wiadomości".

Skoro w dodatku nadszedł do mnie pod banderolą z Paryża pierwszy tom Dziennika (zapisy z lat 1953—1956), nie zdołałam oprzeć się pokusie zarażenia swym entuzjazmem grona stałych bywalców lubelskiego Klubu MPiK. Zaprezentowałam tam wiosną 1958 r. dość obszerny referat, powtórzony potem w Klubie Pracowników Kultury.

Prawdę mówiąc, robiłam to z duszą na ramieniu wobec niezwykłej złożoności i niezmierzonego bogactwa artystycznego dzieł Gombrowicza. Czułam po prostu, że cokolwiek się powie o Gombrowiczu „zwarcie, przekonywająco", swoimi słowami — odbarwi go, jakoś wyjałowi, zuboży. Miał on rację, kiedy pisał w liście do członków Klubu Dyskusyjnego w Los Angeles:

Domagam się — o sobie — słowa odświętnego. Tych, którzy pozwalają sobie mówić o mnie nudno i rozsądnie, karzę okrutnie: umieram im w ustach i oni mają w swoim otworze gębowym pełno, mego trupa.

Jeśli więc wyszłam obronną ręką z mej wyżej wspomnianej imprezy, to chyba dlatego, że operowałam obfitymi cytatami tudzież opisywałam (idąc za radą pisarza) tylko swoje reakcje czytelnika — nie tego, który twierdzi: to jest dobre, a to jest złe, lecz takiego, który mówi: to mi się podoba, a to mi się nie podoba.

No, ale z biegiem czasu krytycy, z „ciotkami kulturalnymi" włącznie, na które autor „Ferdydurke" przypuścił szczególnie zajadły atak, musieli, że tak powiem — wziąć Gombrowicza na warsztat. W końcu on sam przecie, wołając już w r. 1954 w Dzienniku: *Dlaczego to opinia p. X, która jest ostatecznie jedną więcej prywatną opinią, ma być wyniesiona na wyżynę wyroku przez sam fakt, że on pisuje w gazecie?* — stawia z kolei pytanie: *...czy jest w porządku, aby autorzy przybierali minę podczas pisania, jak gdyby krytyka nic ich nie obchodziła, jak gdyby owe osądy działy się na innej planecie — gdy w rzeczywistości wszyscy piszemy dla ludzi, sąd ich jest dla nas decydujący, lęk przed nim — dominujący.*

Oczywiście nie sąd nacechowany „arogancją i impertynencją" czy „pośpiesznym niechlujstwem".

Wiele z tego, co mówi Gombrowicz o krytykach, moglibyśmy zastosować i do inscenizatorów o zacięciu nazbyt kreacyjnym. Bo forsowanie własnej interpretacji ideowej sprzecznej z zasadniczym dążeniem utworu równa się przecie zuchwałej postawie wobec autora, jest naruszeniem jego „swobody i suwerenności".

Szczęściem, wybitny reżyser polski Józef Gruda jeden z bardzo wziętych w naszej dobie, godzi nieprzeciętną inwencję z dochowaniem wierności zasadniczym założeniom inscenizowanej sztuki. Toteż inscenizacja „Operetki" Witolda Gombrowicza, wystawionej ostatnio w lubelskim Teatrze im. J. Osterwy, przekazuje widzowi czytelnie problem nurtujący pisarza — sprawę owej „nagości wiecznie młodej, młodości wiecznie nagiej". A zarazem forma parodystyczna utworu została wykorzystana tak „odświętnie", że Gombrowicz nie „umarł w ustach" aktorom, jak to groził ewentualnym nudziarzom z Klubu Dyskusyjnego w Los Angeles.

Widziałam przed tą premierą dwa świetne przedstawienia „Operetki": łódzkie — Kazimierza Dejmka i wrocławskie — Kazimierza Brauna. Moim zdaniem, inscenizacja lubelska nie ustępuje im w celności wyrazu i walorach artystycznych. Podstawowym osiągnięciem Józefa Grudy jest tu przezwyciężenie pozoru niespójności pomiędzy aktem II a III, jaką szereg poważnych krytyków dostrzega rzekomo w samej strukturze Gombrowiczowej „Operetki". Gruda znalazł klucz do aktu drugiego potęgując nader umiejętnie narastanie niepokoju w scenie balu. Niczym w „Weselu" wyczuwa się tu jakąś niesamowitość. Sprzyja wytworzeniu aury przedrewolucyjnej m. in. wzmocnienie sceny rozpoznania w nodze hrabiego Hufnagla nogi „naszego" Józka. Efekt osiągnął reżyser usadawiając grupę Lokai na stopniach wiodących z proscenium na widownię. Zmiany w czasie historycznym doskonale uzmysławia bezbłędna realizacja finału aktu II według wskazania autora: zdemaskowanie postaci, po którym Prezes jawi się nam w hitlerowskim mundurze wojskowym. Generał w ubraniu pilota samolotu odrzutowego, Markiza — jako dozorczyni w niemieckim obozie koncentracyjnym, Bankier z przeciwgazową maską na twarzy...

Już niedługo po rozpoczęciu tak kończącego się II aktu, śmiech na widowni ustaje. Świadczy to bardzo dobrze o inscenizacji: widz pojął we właściwym momencie, że pokazywana mu „operetka" (z jej „modami") jest metaforą dziejów świata.

Po głębszym zastanowieniu się dochodzę do wniosku, że chyba niesłusznie pomawiało się tu i ówdzie autorską strukturę „Operetki" o jakiś tam rozziew między dwoma ostatnimi aktami, a klucz do aktu drugiego w inscenizacji lubelskiej dało po prostu niezwykle precyzyjne przestrzeganie wytycznych didaskaliów Gombrowicza i znakomite wykorzystanie w tym celu wszystkich możliwości teatralnych: ostrej ekspresji aktorskiej, wyrazistych „sygnałów" dźwiękowych, nienagannego uwydatnienia światłem najważniejszych sytuacji służących naczelnemu zadaniu.

Nie ma sensu opisywać na tych łamach całkowitego przebiegu spektaklu — powinien go zobaczyć każdy lubelski miłośnik teatru i na pewno też wielu, wielu miłośników pozalubelskich. Ale mam jeszcze to i owo do powiedzenia o realizacji. Same superlatywy.

A więc przede wszystkim podoba mi się ustawienie przed kurtyną Dyrygenta, który obracając się do orkiestrantów-kukieł, umieszczonych w loży obok proscenium, symuluje ruchy dyrygenckie, wykonywane uprzednio w czasie nagrywania uwertury, następnie zaś podczas spektaklu dyryguje efektywnie śpiewem aktorów, czuwając nad jego zsynchronizowaniem z nagranym akompaniamentem. Dyrygentem tym jest kierownik muzyczny inscenizacji Mieczysław Mazurek. Należy się mu szczególne uznanie za ogrom trudu włożonego w przygotowanie zespołu aktorskiego od strony wokalnej. Tak sprawnego i dowcipnego wykonania różnych „arii", „arietek", ansambli — lirycznych, komicznych — nie powstydziłby się niejeden zespół służący zawodowo lekkiej muzie. Nawiasem mówiąc, zaskoczyło mnie przyjemnie odkrycie, że sporo aktorów Teatru Osterwy ma całkiem dobre głosy.

Świetna muzyka Piotra Mossa jest niewątpliwie jednym z atutów lubelskich spektakli „Operetki". Pisałam już w związku z wystawionym w Lublinie „Hamletem" o zaletach kompozycji „teatralnych" Mossa. Pozostaję nadal ich apologetą. Muzyka „Operetki" znakomicie różnicuje zabarwienie emocjonalne poszczególnych momentów. „Katarynkowata" na wstępie, nabiera gdzie trzeba akcentów groźnych, odzyskując lekkość po odnalezieniu Albertynki.

Wydaje mi się, że nie można też przechwalić scenografii Barbary Jankowskiej. Jej dekoracja zachwyca estetycznym sparodiowaniem genre'u music-hallowego. Nieodzowne monumentalne schody dla prezentacji szyku toalet. Ale tuż nad schodami, w konwencji absurdu — „plenerowe" niebo z zarysem („znakiem") kościoła, z którego u Gombrowicza mają wychodzić postacie. Światło nadzwyczaj efektownie (rzekłbyś — romantycznie) przemienia to doskonałe w swej prostocie tło. Po bokach sceny znowuż królestwo quasi-operetki: kulisy niczym kraciaste szpalery altany zdobne w różnobarwne kwiaty, a najbliższe proscenium — w atrapy wachlarzy, masek, instrumentów muzycznych. Wręcz godne podziwu są kostiumy. Ich harmonia zespołowa i zestrojenie z dekoracją, jak również precyzja wykonania (chwała pracowniom krawieckim!).

A co o głównych bohaterach gigantycznego przedsięwzięcia — o aktorach? Niestety, nie sposób poświęcić każdemu z nich osobne omówienie. Gra 36 (słownie: trzydzieści sześć) osób. Prawie cały zespół. Nawet w asyście Flora występują aktorki zawodowe, obsadzane kiedy indziej w rolach pierwszoplanowych. Zaznaczmy przynajmniej,

Lekarze o serialu

NIEDAWNO w TV emitowano serial „Układ krążenia" w reżyserii Andrzeja Titkowa. Został on zrealizowany na podstawie powieści Aleksandra Minkowskiego pod tym samym tytułem. Recenzenci kontrowersyjnie ocenili zalety dramaturgii, stylu, narracji itp. Dziś zabierają głos ludzie, którzy dobrze znają przedstawione w serialu środowisko. Naszym rozmówcom zadaliśmy trzy pytania:

1) Czy lekarzowi wystarczą tylko wiedza i umiejętność?

2) Główny bohater serialu Roman Bognar — to postać pozytywna czy negatywna?

3) Czy pokazany serial należy traktować jako wyzwanie rzucone światu lekarskiemu?

Wielu ludzi w bieli nie chciało wypowiedzieć swoich sądów i myśli o problemach nurtujących ich środowisko. Zasłaniali się brakiem czasu i układami personalno - towarzyskimi. Znaleźli się jednak tacy, którzy chętnie przystali na naszą propozycję.

Prof. hab. dr. Józef Staszyc — prorektor Akademii Medycznej w Lublinie:

— Umiejętność i wiedza lekarska to tylko kompetencja zawodowa, którą powinni posiadać zarówno rzemieślnicy, jak i artyści. Lekarz to ponadto człowiek współczujący, zawsze bezinteresownie zaangażowany i otwarty na sprawy innego człowieka. Jako wychowawca widzę w Bognarze sporo cech pozytywnych, ale i dużo negatywnych. Nie jest to bohater „cukierkowy". Muszę jednak stwierdzić że nie przedstawiłbym go studentom na zajęciach jako wzór do naśladowania. Serial był konsultowany przez specjalistów różnych szczebli. Można więc sądzić, że taka jest służba zdrowia, a jest przecież ona częścią społeczeństwa, bo nie jest to dzisiaj zawód dla wybranych. Uważam, że pokazywanie tylko, lub przeważnie, ujemnych momentów pracy ludzi w bieli jest krzywdzące dla tych, którzy w pełni zasługują na uznanie i szacunek. Jeśli pokazano to, co złe w pracy służby zdrowia, to ze względów wychowawczych i społecznych należy wskazać i przeciwdziałania, bo przecież takie mają miejsce. A młodym ludziom, którzy myślą o medycynie, a nawet mają autentyczne powołanie, warto wskazać i blaski medycyny w codziennej pracy. Zadaniem prasy, radia, telewizji i filmu jest nie tylko krytyka, ale i kształtowanie pewnych postaw i zachowań.

Tomasz Paszkowski — student IV roku Wydziału Lekarskiego AM w Lublinie:

— W zespole cech idealnego lekarza mieści się niewymierna sfera osobowości przez jednych zwana „podejściem do pacjenta", a przez drugich po prostu kulturą osobistą. Nie jest chyba dobrze, że cechy te traktuje się często jako wrodzone i nie stara się kształtować ich w przyszłych lekarzach. Coraz mniej nauczających nas lekarzy chce wyjść poza ramy obowiązującego programu fachowego i poświęcić czas etyce czy psychologii kontaktów lekarz — pacjent. A szkoda, bo tych właśnie wychowujących pamiętamy najdłużej, mając świadomość, że ich nauki nie zastąpi żaden podręcznik. Rozumując kategoriami moralnymi, trudno nie uznać za postać pozytywną człowieka, który tak wytrwale dąży do poznania prawdy. Trudno również nie ocenić pozytywnie lekarza, który w tak bezkompromisowy, że aż miejscami nierealny sposób rozumie etykę zawodową i przestrzega przysięgi lekarskiej. Ta jednak niepodważalność jego cech dodatnich sprawia, że postać wydała mi się mdła i mało ciekawa. Budzi ona we mnie nieodparte wrażenie, że jest próbą przeniesienia we współczesność jeszcze jednego bohatera rodzimej prozy pozytywistycznej. W żadnym wypadku nie odebrałem warstwy krytycznej filmu jako wycelowanej w lekarzy. Na tyle, na ile jest ona odbiciem rzeczywistości, stanowi raczej smutną dokumentację, w jaki sposób zbiurokratyzowanie i sformalizowanie stosunków zawodowych w służbie zdrowia może być zabójcze, lub przynajmniej szkodliwe dla sztuki lekarskiej.

Lek. med. Stanisław Szweczko — kierownik Ośrodka Zdrowia w Garbowie:

— Lekarzowi oprócz wiedzy i umiejętności zawodowych potrzebne są także inne cechy osobowości. Powinien być człowiekiem o dobrym sercu. Nie musi, a nawet nie powinien tego okazywać w postaci „płaczu nad chorym", lecz w głęboko pojętym humanitaryzmie. Musi posiadać rzetelną, nowoczesną wiedzę, ciągle uzupełnianą przez samokształcenie bądź okresowe szkolenie. W filmie pokazano człowieka zmęczonego pracą i kłopotami osobistymi, od którego oczekuje się decyzji, biegłości i talentu, tego, że będzie uzdrowicielem. Mnie się wydaje, że ja jako lekarz zachowałbym się inaczej w tej części filmu poza szpitalem. Uważam, że znachorka przewyższała Bognara siłą psychologicznego oddziaływania na człowieka poszukującego pomocy. Roman Bognar jest niewątpliwie najlepszym chirurgiem na oddziale, zna się na kardiologii, ale ma luki w psychologii klinicznej. Lekarze biorą pieniądze za ratowanie życia, a nie za uśmier-

że te „girlaski", poruszające się z fascynującą gracją, są prześliczne, idealnie zbudowane i spełniają prawie dosłownie marzenia Albertynki o „nagości".

Na czoło całej obsady sztuki wysunęła się bezsprzecznie Nina Czerska, która w roli Księżny Himalaj od pierwszego wejścia podbija widownię wdziękiem, szykiem, temperamentem iście „operetkowej diwy". Jest nadspodziewanie młoda i atrakcyjna jak na matkę 35-letniego synalka, Szarma. Dorównuje Czerskiej elegancją, wytwornością operetkowego arystokraty, wyrazistym podawaniem dowcipnych kwestii, dobrym śpiewem, partner „primadonny" Ryszard Barycz — Książę Himalaj. Zwłaszcza ich dialog o nikłej różnicy „naturalnej" — między arystokracją a gminem wywołuje salwy śmiechu na widowni.

Równie dowcipni i zabawni, każdy na swój sposób, są dwaj rywale, napuszeni bonvivanci, hrabia Szarm i baron Firulet — w wykonaniu respective: Zbigniewa Sztejmana i Henryka Sobiecharta.

Piotr Suchora znów zabłysnął, tu — w roli Fiora. Jest dystyngowany w sytuacjach dosłownego dyktatora mody z Paryża, poważny, zatroskany — w planie metaforycznym.

Grażyna Dyląg-Mikołajczyk (PWSFTviT) — Albertynka — odniosła pełny sukces i w sytuacjach niemrawej sklepikarzówny, i jako metaforyczna nagość wiecznie młoda i wreszcie jako odnaleziona metaforyczna, a zarazem dosłowna, cud dziewczynka, w powiewnej sukience *à la bébé*.

Znakomicie spisali się Jerzy Rogalski i Jerzy Turowicz, nader zręczni w postaci złodziejaszków i autentyczni w „manierach" piesków.

Na wysokości zadania stanął prędko, bo zaledwie po kilkunastu próbach, Piotr Wysocki, odtwarzając skomplikowaną postać „hrabiego" Hufnagla, zagadkowego w I akcie, despotycznego i rozpasanego przy końcu drugiego, „zgaszonego" w momencie składania do trumny swoich dogmatów. Trafnie odtworzył Roman Kruczkowski postać bezwolnego intelektualisty, Profesora, cierpiącego na (znowuż „metaforyczne") wymioty przy różnych koniunkturach ustrojowych.

Korzystnie wypadło w akcie I wejście Ojca Albertynki (Stefan Lipiec) i jej Matki (Maria Kaczkowska). Krystyn Wójcik zdołał wydobyć sporo pogodnego humoru ze skromnej postaci Proboszcza. Role Markizy, Prezesa, Generała, Bankiera, nie dające pola do popisu, grali ofiarnie: Maria Karchowska, Ryszard Kolaszyński, Jan Krzyszczak, Waldemar Starczyński.

W grupie służby wielkie brawa należą się Marii Koziarskiej, gospodyni Proboszcza, Walentowej — za jej kapitalne miny fałszywej dewotki. Skupia się też często uwaga widza na postaci lokaja Szarma, Władysława (Jan Uryga), trafnie stylizowanego na kamerdynera starej daty. Nie przeoczy widz również i lokaja barona Firuleta, Stanisława (Andrzej Redosz), z kolei wesołego chłopca, podrwiwającego ze sztywnego kolegi.

Wykaz zasług — i to poważniejszych — byłby niepełny, gdyby się pominęło choreografa, Rajmunda Sobiesiaka, któremu spektakl zawdzięcza swą wspaniałą dynamikę. Składają się na nią ewolucje asysty Mistrza Fiora (z nim na czele), tańce na balu, galopy rozpętane przez mistrza Hufnagla, a zwłaszcza rozbudowany tanecznie finał „optymistyczny", w którym Gombrowicz wyraża najdobitniej myśl o odrodzeniu świata przez młodość, przez odrzucenie wszystkich sztucznych „mód" historycznych aby człowiek mógł odzyskać swą indywidualną tożsamość.

Osobiście, gratuluję Teatrowi im. J. Osterwy największego w sezonie sukcesu.

35 LAT I JA

Gdy myślę – Polska

Jerzy Wilmański

BYŁ styczeń 1945 roku. Czołgi I Armii Pancernej, które otoczyły Łódź, wyzwoliły najpierw (17 stycznia) podłódzkie osady i miasteczka, aby po dwu dniach (19 stycznia) wjechać na Piotrkowską i Plac Wolności.

Miałem wówczas dziewięć lat. Trudno mi było zrozumieć niezwykły „przekładaniec" przewalającego się frontu. Ostatni żołnierze w mundurach feldgrau mówili po polsku, klęli swój los, przeklinali Hitlera i zostawili nam torbę cukierków. Byli to Ślązacy.

Pierwsi żołnierze w burych szynelach byli uśmiechnięci, częstowali nas kaszą i tuszonką, a ich śpiewny język był przecież zrozumiały.

W wierszu napisanym po latach znalazł się ten właśnie obraz:

Płonące cegły Radogoszcza
Kruszy się mur
I noc się kruszy

Pamiętam — świt
Pamiętam — mróz

I jeszcze zgrzyt stalowych dżdżownic
Wojskowy tabor, tupot koni
Zapamiętałe grał „Katiuszę"
Krasnoarmiejec na harmonii

W ten sposób wkroczyłem w nowy rozdział historii mojego kraju, rozdział, który pisze się już trzydzieści pięć lat. Razem z wiosną 1945 roku zasiadłem w szkolnej ławce, spóźniony o dwa wojenne lata.

A więc szkoła, gimnazjum i ZMP. Różnie później mówiono i pisano o tej organizacji, ale nic nie potrafi zniweczyć mojego sentymentu do ZMP. Po latach powstał wiersz:

Moja pierwsza miłość w zielonej koszuli
w przepoconych skarpetkach
w butach cioci UNRRY

Z lewa zacinał deszcz
z prawa zacinał wiatr
deptaliśmy błoto rozkisłych kartoflisk

Nie mieliśmy w tornistrach wierszy Jesienina
za poezję starczał Notatnik Prelegenta
Było prosto i pięknie w tę deszczową jesień

Mój pierwszy krawat miał kolor czerwony
nie umiałem go zawiązać
ktoś to zrobił za mnie.
nie chciałem go rozsupłać
ktoś to zrobił za mnie.

Moja pierwsza miłość
moja pierwsza ufność
Szliśmy ulicami skandując donośnie
„Reakcji nie boimy się..."

Dziś nie boimy się własnych wspomnień
To więcej niż wówczas można było przeczuć.

To prawda — dziś nie boję się tamtych wspomnień, choć na owe lata historia naniosła wiele mułu i szlamu. Ale były to lata autentycznych pasji i entuzjazmu. Zgoda, że ówczesna pryncypialność bywała nieraz prostacka i naiwna. Ale była szczera i autentyczna.

W zielonej bluzie — najpierw harcerskiej, potem „Służby Polsce" — przemierzaliśmy nasze pola — sieradzkie, zielonogórskie...

Nie oszczędziła nam potem współczesność porażek, „trzęsień ziemi" i nagłych zakrętów. Nie oduczyła mnie współczesność entuzjazmu i pasji, natomiast nauczyła mnie rozwagi. Dziś wiem, że nie wolno wartości fundamentalnych, ponadczasowych kłaść na jednej szali obok wartości doraźnych i jakże często zawodnych. To banał i oczywistość — ale przecież nie od razu dana mi była ta prawda.

Na trzydzieści pięć lat epoki Polski Ludowej przypada ponad dwadzieścia lat mojego pisania. Jest więc i w moim prywatnym dwudziestoleciu wiele pomyłek i zakrętów. Ale zawsze — nad każdą z setek zapisanych kartek pochylała się ta moja największa miłość, moja Piękna Pani...

Gdy myślę — Polska, wtedy przesuwa mi się przed oczyma mój osobisty film dokumentalny, w którym odnajduję czołgi na Piotrkowskiej i siebie w zielonej bluzie „Służby Polsce"; rumowiska Warszawy, Wrocławia i Szczecina, Nową Hutę i białostockie Fasty, wielotysięczne wiece na Placu Defilad i pełne skupienia i niepokoju wieczory w oczekiwaniu na radiowe komunikaty...

Gdy myślę — Polska, widzę rumowiska lat czterdziestych, bo pamiętam martwy, zgruzowany Wrocław i sterty ruin na warszawskiej Starówce i puste wsie Dolnego Śląska... Nakładają się na nie obrazy z lat późniejszych — dymiące fabryki, huty i rafinerie, zgiełkliwe miasta odrodzone z popiołów...

Gdy myślę — Polska, to jest w tej refleksji ogrom dumy i nadziei, jest w niej jednak także miejsce na gorycz i niepokój:

A ty bywasz brzydka, strudzona i słaba.
Budzisz się świtem, by biec do tramwaju,
głęboko chowasz niepotrzebną dzisiaj
szminkę tylko na dni uroczyste

Moja Piękna Pani, moja utrudzona,
Ręce masz pełne zmarszczek i zmęczone oczy,
Pod wiatr idziesz mrokiem czerwona od mrozu,
Twoja wstążka we włosach bieli się wśród nocy.

Nie należy wstydzić się niepokoju i goryczy, bo nie Arkadia jest naszym udziałem, lecz owa „planeta ludzi" pełna człowieczych zmagań i człowieczego trudu.

Nie wolno jednak wstydzić się patosu.

Wypiękniałaś ojczyzno
w barwach lasów i lat
ptak i pocisk i lira
w liściach lipcach żywicznych

Lipce płoną na wietrze
liście lipce żywiczne
las oddycha
dukt kwitnie.

„Układ krążenia"

Mieczysław Kościński

canie chorych. Dotknięto tu jednak sprawy, która co pewien czas staje się przedmiotem dyskusji: eutanazji. Nie wolno skracać życia choremu na nieuleczalną nawet chorobę, ani dobrowolnie ani pod przymusem. Bognar jest zbyt pryncypialny, mało serdeczny, pozbawiony ciepła. Jego stosunek do pacjentów budzi wątpliwość. Lekarz, jak każdy inny pracownik, powinien przestrzegać etyki zawodowej. Problem łapownictwa w służbie zdrowia powinien doczekać się rozstrzygnięć prawnych. Jeśli matka po rocznym leczeniu jej dziecka, gdy lekarz poświęcał na to swój wolny czas, przyniesie mu bombonierkę czekoladek za 100 zł lub kwiaty, to nie jest przecież łapówka, jak niektórzy uważają. To zjawisko dotyczy nie tylko naszego zawodu. Tępiłbym jednak tych lekarzy, którzy uzależniają opiekę nad chorym od otrzymania pieniędzy. Trzeba wciąż doskonalić model naszej służby zdrowia i zaostrzyć kryteria oceny pracy lekarzy. Są to sprawy trudne, muszą to robić przede wszystkim sami lekarze. Oczywiście konieczny jest udział przy tym czynnika społecznego w szerokim tego słowa znaczeniu.

Lek. med. Włodzimierz Matysiak — pracownik naukowy AM w Lublinie:

— Mimo swoich słabostek Bognar zapisał się w mojej pamięci jako bohater triumfujący. Niepokoję się tylko o jego los. Osiągnął wprawdzie częściową rehabilitację, lecz trudna do zmazania plama na dyplomie pozostała. Jakże często w ferowaniu opinii kierujemy się zasadą: nie ma dymu bez ognia. A więc Bognar dowie się z pewnością jeszcze nie raz „słyszeliśmy o panu, że..." Problem eutanazji, stanowiący osnowę głównego wątku serialu, nie jest wydumany, co próbowano zarzucić autorowi scenariusza, ale w naszej służbie zdrowia nie może się zdarzać. Uważam, że serial usiłuje prawdzie spojrzeć w oczy. Wszyscy znamy te obrazki: wąski, duszny korytarz i tłum ludzi oczekujących na lekarza. Jakkolwiek wszyscy zgodni są co do tego, że upowszechnienie opieki zdrowotnej stanowi wielkie dobrodziejstwo, to jednak fakt ten nie przesłania korzystającym z tej opieki ostrego widzenia niedoskonałości. Chory skarży się, że lekarz nie widzi w nim cierpiącego człowieka. Społeczeństwo obwinia lekarza o wszystko, co dotyczy zdrowia, nie zawsze stwarzając lekarzom odpowiednie warunki.

Lek. med. Grzegorz Brajerski — PSK Nr 1 w Lublinie:

— Poza wiedzą i umiejętnościami czysto fachowymi pozostaje jeszcze wiele spraw, które nie dają się zamknąć w ramach podręcznika. Nawet niedoświadczony lekarz dostrzega umowność podziałów książkowych, płynność wszelkich schematów. I leczący staje się lekarzem wówczas, kiedy świadomie odchodzi od tych umowności, by dojrzeć za nimi człowieka. Jego działanie nabiera pełnego sensu w momencie, kiedy się zrodzi coś na kształt sprzężenia zwrotnego z pacjentem, kiedy leczony pojmie intencje leczącego. Bardzo ważna jest tu intuicja, która nie tylko pozwala lekarzowi przewidzieć to, co nie powinno się zdarzyć, lecz również znaleźć „klucz do pacjenta". Wbrew powszechnemu mniemaniu nie jest to rzecz nieosiągalna — pod warunkiem, że lekarz ma na to czas i że tego chce. Bognar w zamyśle reżysera jest bohaterem pozytywnym. Uwikłany w sytuacje, w których nie może już przegrać, skazany jest tym samym tylko na sukces. Błądzi wielokrotnie, co stanowi jedynie barwną cechę jego natury i służy podkreśleniu jego prostolinijności. Czyż można mieć mu to za złe, że przerzuca się z ramion jednej kobiety w ramiona drugiej, skoro jest człowiekiem wolnym, a związki jego partnerek są iluzoryczne? Czy można go ganić za przyjęcie od pacjenta butelki koniaku, skoro rzeczywiście zasłużył na więcej? Czyż wreszcie należy go potępiać za sposób, w jaki załatwił synowi studia, jeżeli wszyscy „kontrahenci" przyjmują to za rzecz naturalną, praktykowaną ogólnie i funkcjonującą w naszej rzeczywistości? Sympatię zaś, nawet szacunek widza musi budzić jego ciągłe poszukiwanie prawdy. I nawet jeżeli nie on sam ją znajduje, to w świadomości odbiorcy pozostaje jako człowiek, który jej szukał.

Krystyna Chładko — pielęgniarka z PSK nr 4 w Lublinie:

— Moim zdaniem lekarzowi absolutnie nie wystarczą tylko sama wiedza i umiejętności. Powinien być także dobrym psychologiem. Wtedy znacznie łatwiej nawiązuje kontakt z chorymi. Ma to kolosalne znaczenie przy leczeniu pacjentów. Bognar jest w moim przekonaniu bohaterem pozytywnym, co nie oznacza, że nie ma wady. Porażka — jaka go spotkała — nie powstała z jego winy. Dobrze, że go nie załamała i konsekwentnie dąży on do udowodnienia swojej niewinności. Bognar to człowiek o silnej woli. Nie wstydzi się wykonywania narzuconych mu przez los obowiązków. Pielęgniarki pokazane są w serialu bardzo jednostronnie, jako osoby zajęte romansami lub plotkami. Jest to opinia krzywdząca i mało zgodna z prawdą.

GEOGRAFIA I INICJATYWA

Zygmunt Mikulski

Dr Stefan Wojciechowski

DRA Stefana Wojciechowskiego — 1.I.1979 stuknęła mu osiemdziesiątka — cechuje nieustanna aktywność. Lepiej: w najmniejszym nawet stopniu nie tknięte przez wiek, trzydziesto-, czterdziestoletnie zainteresowanie konkretem. Przy wyróżniająco dobrej pamięci powstał w ten sposób istny dom towarowy wiadomości przydatnych każdemu, w dodatku do nabycia gratis. Lubelskie daty, lubelskie fakty, lubelskie sprawy — po co do doktora Stefana! Nic co lubelskie nie jest mu obce.

Jeszcze gdzieś na skwerze z Kochanowskim, w nobliwej nazwie Sąd Apelacyjny, w geście po staroświecku uchylonego kapelusza (gdzie dziś twa dłoń madame? w kolejce sklepu komercyjnego?) można spotkać resztki XIX wieku. Od nich to idzie echo nazwisk wchodzących w skład lubelskiego panteonu lat trzydziestych. (Jesteśmy w porządku: lata trzydzieste to jeszcze wiek XIX). Jakie to nazwiska? Takie jak Zygmunt Kukulski, ksiądz Ludwik Zalewski, Feliks Araszkiewicz, Konrad Bielski, Jan Dobrzański. Łączyła Stefana Wojciechowskiego znajomość z nimi, ale przede wszystkim przynależność do tej samej formacji intelektualnej i niespokojno-duchowej. Ta sama próba humanistycznego kruszcu.

Co się powiedziało o dniu urodzin? Że 1.I.1899? Tak było na użytek władz. W rzeczywistości był to dzień 30.XII. 1898. Ex post wyjaśnił to synowi ojciec: „Podałem dwa dni później, bo chciałem, byś o rok później poszedł do wojska". Wybieg jednak poskutkował tylko połowicznie: nie zważając na cel przechytrzenia kalendarza w rodzinie Wojciechowskich, wybuchła sobie w najlepsze pierwsza wojna światowa powodując wcześniejszy pobór rekruta, tak więc młody Stefan zamiast w jesieni 1916 roku „narukował" w marcu 1917 roku. „Narukował". Tak się spolszczało niemieckie „einrücken", co w tym wypadku oznaczało wcielenie do armii. Jako posiadacz matury miał prawo do jedno- a nie trzyrocznej służby wojskowej, dlatego nazywał się „einjähriger Freiwiliger". Że jednoroczny — zgoda, ale dlaczego ochotnik?

Zadawszy sobie to pytanie młody rekrut postanowił wyabsentować się z organizacji, do której wstąpił „ochotniczo". I tu skuteczniejszy w wybiegach okazał się starosta rzeszowski. Wystawił zaświadczenie, że młody rekrut zapisał się na... teologię przed powołaniem do wojska. Jedynie to mogło poskutkować. I poskutkowało. Tak Stefan Wojciechowski ponownie stał się „ochotnikiem" tym razem w służbie duszpasterskiej. Wytrzymał w niej trochę dłużej, bo rok, ale z Drohobycza, gdzie pełnił swoją funkcję, musiał uciekać. Drohobycz i pobliski Borysław były zalewane nie tylko fluktami nafty, ale również płynu o charakterze wyskokowym, co w pierwszych dniach euforycznie witanej państwowości przybrało rozmiar przekraczający możliwości konsumpcyjne młodego akolity. W roku 1922 tenże wyemigrował do Krakowa, by rozpocząć studia z zakresu historii i geografii historycznej u prof. Semkowicza. Ponieważ z finansami (galopująca inflacja) było krucho, przyjmował prace zlecone jako katecheta. Także będąc katechetą... ożenił się. Na Śląsku. Tam obowiązywało jeszcze prawo pruskie, według którego święcenia kapłańskie nie stanowiły przeszkody do zawarcia małżeństwa.

Żona była, ale nie było posady. Dopiero dzięki prof. Stanisławowi Kotowi via Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego znalazł ją u dyr. Ignacego Solarza na Uniwersytecie Ludowym w Szycach. Wykładał historię. Ale geografia, geografia! Ten konik zawsze hasał po błoniach zainteresowań Stefana Wojciechowskiego. Więc co? Wiedeń. Kriegsarchiw. Archiwum Wojskowe. Mapa terenów zajętych przez Austrię w III rozbiorze. Skala 1 : 28 000. Wyobrażamy to sobie? Każda „głęboka studzienka", „łączka zielona", „dziura w desce", a chyba i gliniany garnek w kogutki zostawiony na płocie przez śwarną Kasię. Oprócz mapy trzeba było studiować materiały pomocnicze, a czasu na to w godzinach otwarcia archiwum nie wystarczało. Zresztą nie wszystko było Polakowi dostępne. I tu znów wyjątkowy przypadek. Dyrektor archiwum — Austriak! — wszelkie prohibity brał do swojej teczki i wręczał je Wojciechowskiemu po godzinach urzędowych na ulicy. Ta międzynarodowa współpraca naukowa miała pasjonatowi geografii przynieść dyplom. Nie przyniosła. Jeszcze trzeba było poczekać. Bo oto z Lublina od dyrektora gimnazjum Vetterów Ludwika Kowalczewskiego przyszła depesza, że w szkole potrzebny jest geograf. I geograf pojechał. Ale kiedy pojechał, narobił strachu. Kowalczewski wysłuchawszy od Wojciechowskiego jego curriculum vitae dostał zeza. Sprawa musiała trafić do kuratorium. W kuratorium wizytator Jan Firewicz (późniejszy dyrektor departamentu w ministerstwie, również po wyzwoleniu) zbagatelizował jej demonizm całkowicie. Wojciechowski poszedł podziękować. Ponieważ nie miał innego ubrania, poszedł w pumpach. Firewiczowi dowcipu nie brakowało. Na pierwszą wizytację lekcji Wojciechowskiego zjawił się również w pumpach. Tak więc ta dolna część garderoby została niejako zalegalizowana w zajęciach ciała pedagogicznego.

Uczył Wojciechowski również w żeńskim gimnazjum „Unia". Stamtąd wypłynął anonim do ministerstwa, że szerzy komunizm. Od tej chwili na każdej lekcji miał wizytatora. Sytuacja stała się niewygodna. W tych warunkach skorzystał z propozycji kuratora krakowskiego (poprzednio lubelskiego) Eustachego Nowickiego, który go mianował dyrektorem VII gimnazjum w Krakowie. Aliści i tu dziwnie się poplątało. Ktoś usłużny z kuratorium krakowskiego podrzucił redakcjom, że niejaki Stefan Wojciechowski został dyrektorem gimnazjum nie mając wyższych studiów, a tylko seminarium nauczycielskie. Takiej treści notatka ukazała się w „IKC", „Naprzodzie" i „Głosie narodu". Cóż było. Wojciechowski złożył rezygnację ze stanowiska..., którego nie objął. Osobliwości incydentowi nadał fakt, że w szkolnictwie pracował inny Stefan Wojciechowski, mianowicie inspektor szkolny w Konstantynowie (koło Janowa Podlaskiego) i usłużny informator prasowy mimo woli wykonał tu czynność w teorii literatury zwaną kontaminacją. Zresztą obu Wojciechowskich los później ze sobą zetknął. Ten nr 1 już jako wizytator szkolnictwa powszechnego przeniósł do Krasnegostawu tego nr 2, kiedy maleńki Konstantynów przestał być powiatem.

W roku 1930 — doktorat u prof. Semkowicza, promocja w auli UJ. Znów nie typowo. Bo ten doktorat przyszedł wcześniej niż dyplom nauczycielski.

Pracując w kuratorium Wojciechowski pełnił funkcję przewodniczącego Komisji Dyscyplinarnej. Zdarzyło się w Biłgoraju, że pewne towarzystwo, w którym znajdował się starosta i dyrektor tamtejszego gimnazjum Franciszek Krzemień-Ojak, urządziło sobie bibkę. Kiedy języki się rozwiązały, dyrektor wyraził swą opinię na temat sanacji z użyciem czterech liter. Ponieważ „obraził rząd" sprawa musiała trafić na wokandę Komisji. Trafiła, ale z rezultatem minimalnym: Krzemień otrzymał tylko naganę. Z ministerstwa przyszło pismo, że Wojciechowskiego odwołuje się ze stanowiska przewodniczącego Komisji Dyscyplinarnej. Karę poniósł sędzia. Za to później, po wyzwoleniu, kiedy zgłosił się do pracy w kuratorium, kurator Krzemień-Ojak przywitał go z otwartymi rękami. Wszystkich nowo przyjmowanych pytał o stosunek do Manifestu PKWN, Wojciechowskiego nie.

Ale cofnijmy się trochę. Wybuch wojny zastał Stefana Wojciechowskiego jako wykładowcę w Państwowym Pedagogium im. Ewarysta Estkowskiego. Eksplozja bomby przysypała go. 9 listopada kiedy prowadził lekcję, do klasy wszedł woźny z zawiadomieniem, że jest wezwany do dyrektora. U dyrektora Gestapo. Miał tłumaczyć. Kiedy spełnił tę czynność, chciał odejść, na co usłyszał „Pan też jest aresztowany". I tak nastąpił w życiorysie Stefana Wojciechowskiego rozdział pt. „Cela nr 35" zapisany oczekiwaniem na śmierć. Z tej celi wyszedł na rozstrzelanie m. in. dyrektor gimnazjum Staszica Tadeusz Moniewski, który wraz z grupą dziesięciu innych zakładników zginął na cmentarzu żydowskim w wigilię Bożego Narodzenia 1939 roku.

Żonie Wojciechowskiego udało się go wykupić. Ceną był wagon jęczmienia. Komendant więzienia Dominik miał konie, a nie miał paszy i ta okoliczność plus przekupność dygnitarzy hitlerowskich otworzyła furtkę na wolność.

Żona otrzymała koncesję na prowadzenie mleczarni. Znajdowała się ona na ul. Lubartowskiej 18, obecnie 24. Ale nie tylko mleko i sery przechodziły przez sklep, również karabiny. W długich, na 720 jaj, skrzyniach. Odbierali je chłopcy z BCh, ich komendant Jan Pasiak (ps. „Jawor") miał tam kwaterę. Bywał również Ryszard Postowicz (ps. „Murzyn"), który miał dość dokładne wiadomości o zamierzeniach okupacyjnych władz. Uprzedził Wojciechowskiego, że w dniu 26 czerwca 1944 roku będą aresztowania w celu zdobycia zakładników. Wojciechowski umknął do Rzeszowa.

Na wyzwolenie zareagował kupnem konia i wozu. Załadował nań żonę z synem i wyruszył do Lublina. 1 września zameldował się do pracy w szkolnictwie.

I tak zaczęły się wykłady, wizytacje, funkcje, inicjatywy, bibliofilstwa i ekslibrisostwa. By spisać to wszystko, trzeba by wołowej skóry. Stefan Wojciechowski należy do ludzi, którzy posiadają dziwny dar ożywiania każdego środowiska, w którym się znajdują. Już nie mówmy o pracy: dar, talent. I organiczne zapotrzebowanie na aktywność. Dwukrotnie szedł na emeryturę. Raz — z kuratorium — mając 64 lata, drugi raz — z Biblioteki UMCS — mając lat 71. Czy może jeszcze ma zamiar rozpocząć gdzieś „normalną" pracę etatową? Do trzech razy sztuka. Zresztą prezesem Lubelskiego Towarzystwa Miłośników Książki jest do dziś.

Wspomniana była przykładowo galeryjka osób, które wpisały się w kulturalną panoramę miasta. Do nich należy. Stefan Wojciechowski jest bardzo lubelski. I bardzo nieuchwytny dla zamykającej definicji. Historyk? Geograf? Człowiek nauki? Pedagog? Dydaktyk? Działacz społeczny i kulturalny? Inicjator? Przecież to wszystko, ale równocześnie jakaś nadwyżka, „wartość dodatkowa" w produkcji umiłowań, zauroczeń, oddania sprawie, serdecznych i skutecznych związków między ludźmi. Tak, proszę młodych, to jest XIX wiek.

Czyli te 4x20 lat... Cóż one znaczą? Znaczy mapa dokonań wśród spraw i ludzi swojego czasu. A tej nie rysuje się grafionem. Rysuje się życiem. Takim.

OKO-LICE SZTU-KI

O dobrej robocie i rysunku

DAWNO nie widziałem takiego majsterstwa takiej techniki, takiego nachylenia się nad warsztatem plastycznym, takiej oszałamiającej sprawności manualnej. Niemcy z RFN pokazali w warszawskiej „Zachęcie" dużą wystawę malarstwa i rysunków, która można oglądać godzinami, jeśli ma się choć trochę szacunku dla dobrej roboty. Jest to bowiem wystawa nie tylko dla profesjonałów dla artystów i ludzi interesujących się sztuką. Jest to przede wszystkim pokaz otwarty dla wszystkich ludzi pracujących. Zamiast do opery do „Zachęty" właśnie prowadzałbym wycieczki zakładowe spoza stolicy — dla satysfakcji jednych, dla zawstydzenia, powiedzmy, nierobów. Statystyczny obywatel mógłby się przy okazji przekonać, że sztuka współczesna to nie tylko żywiołowa ekspresja, kryjąca czasami najzwyklejszą w świecie niesprawność warsztatową, lub też niemeczącym trybem zapisywane na papierze wzory konceptualne. Wystawa zachodnioniemiecka poświadcza, że sztuka dzisiejsza to również rzetelna robota w sferze rysunku, kompozycji kolorystycznej, architektury obrazu, że w tej dziedzinie nie ma miejsca na warsztatowa fuszerkę, że ostatecznie opanowanie formy gwarantuje słyszalność autorskiego przekazu o charakterze ideologicznym, filozoficznym czy etycznym.

Hans Peter Reuter, były nauczyciel wychowania plastycznego autor dużych obrazów olejnych przedstawiających rozległe wnętrza zbudowane z błękitnych kafelków, twierdzi, że jest w stanie odróżnić do 120 odcieni błękitu. A kiedy odczuwa zmęczenie bawi się liczeniem malowanych przez siebie płytek, dochodząc nierzadko do 6000 sztuk w obrazie. Istotne przy tym, że na manifestacji słuchu kolorystycznego i cierpliwym żmudnym mnożeniu form nie kończy się sprawa jego twórczości. Reuter maluje bowiem nie tyle tysiące błękitnych płytek, co wrogie człowiekowi, puste wnętrza bez wyjścia, sterylnie czyste jak klinika onkologiczna ze znakiem jakości. A siła sugestii tych obrazów wynika r ó w n i e ż z fachmaństwa (którego nie należy mylić z rutyną).

Pokaźną grupę prac stanowią rysunki ołówkiem, kredką lub węglem. Nie jest to przecież, jak można by sądzić, kameralistyka plastyczna, albo notatki czy szkice do czegoś tam okazalszego, skończonego. Oglądamy samodzielne dzieła o wielkich jak na tę technikę formatach: 160 x 120 cm i więcej. Mniej w tym przypadku interesuje mnie społecznie krytyczny, brutalnie krytyczny sens wielu realizacji i ich znakomity nierzadko poziom artystyczny, czego przykładem „Madame Butterfly" Klausa Vogelgesanga lub „Portret rodzinny z psem" Herma-

na Alberta, niż fizyczna wielkość owych prac i ich liczebność na wystawie. Przypuszczam, że poprzez takie właśnie rysunki, często pojawiające się na wystawach europejskich ujawnia się dziś w sztuce pragnienie powrotu do twórczości respektującej jakieś trwalsze kryteria estetyczne i rozwijającej się wokół wartości akcentowanych nie tylko branżowo, ale i społecznie.

Rysunek ma to do siebie, że najokrutniej demaskuje autorskie nieudacznictwo, bluff, miałkość wyobraźni i koncepcji. Choć często kreska sama „ciągnie" dłoń, to przecież cały proces rysowania ma charakter organizacji wyjątkowo racjonalnej, kontrolowanej, odpowiedzialnej. Powstając w bliskim, bezpośrednim kontakcie artysty z tworzywem rysunek jest swoistym i stosunkowo mało zdeformowanym wizerunkiem osobowości człowieka. Warto też przypomnieć, że rysunek jest najstarszą techniką w dziejach sztuki.

I oto teraz rozrasta się na wielkich powierzchniach kartonów i płócien, konkurując jakby pod względem formatu z obrazami. Wydaje się, że mamy do czynienia z uczciwą, opartą na imponderabiliach próbą wprowadzenia pewnego ładu w sztuce. Niektórzy twierdzą, że rzeczywistość to beznadziejnie zabełtana z u p a, którą strukturalizujemy na własny użytek porządkującą siatką filozofii, religii. Czy w tych działaniach nie mogłaby w końcu uczestniczyć sztuka? Hm, chyba tak — gdyby sama nie była zupą zup. Ale, jak zauważyłem, i tutaj zaczyna się coś klarować.

Równolegle z wystawą w „Zachęcie" czynna była w lubelskim BWA ekspozycja rysunków Stanisława Góreckiego, człowieka młodego, niewiele po trzydziestce, nauczającego w Instytucie Wychowania Artystycznego UMCS, który uczestniczył już w kilku poważniejszych pokazach grafiki i rysunku i miał trochę wystaw indywidualnych, na ogół w klubach i domach kultury, co z punktu upowszechniania sztuki jest na pewno rzeczą godną przypomnienia i szacunku. Zamieniłem z Góreckim dwa zdania w życiu, i teraz, po obejrzeniu wspomnianej wystawy w BWA, trochę tego żałuję. Absolwent krakowskiej ASP pokazał bowiem rysunki tak strukturalnie rozpracowane, tak efektowne wizualnie, a przy tym coś nie tak znów błahego mówiące o sprawie, którą podjął, że po prostu oniemiałem na ich widok, zapominając prawie o tych nieśmiałych pracach Góreckiego, jakie widziałem rok czy dwa lata temu.

Eksponowany cykl nosi tytuł „Reportaże z Kosmosu", ale srodze zawiódłby się ten, kto szukałby na wystawie lśniących rakiet, laserów, dzielnych astronautów czy wizerunku Ijona Tichego. Nic z tego banału, nic z tego inwentarza taniej wyobraźni! Kosmosem bowiem jest tutaj sam rysunek: świetliste, falujące równoległymi pasmami linie, wpadające z impetem w „czarne dziury" miękko potraktowanej materii. Owszem, pojawiają się na planszach dyskretnie artykułowane zarysy głów ludzkich — bodaj nawet w hełmach — ale na szczęście nie one decydują o dramatycznym napięciu kompozycji. Górecki ma świadomość, że językiem plastyki jest forma i przekonanie to konsekwentnie realizuje w praktyce. A warsztat posiada niezgorszy, powiem nawet więcej: takiej sprawności technicznej i inwencji formalnej w rysunku właściwie nie oglądałem na wystawach plastyków lubelskich. Zresztą: kto z nich, jak pamięcią sięgam, uprawiał rysunek jako główne pole twórczości? Nie pamiętam, albo zapominam z powodów charytatywnych.

Interesująca zbieżność: prace Góreckiego również chwalą się dużymi formatami. Nie mierzyłem, w katalogu BWA — jak zwykle — nie wydrukowało spisu rysunków, ale poszczególne plansze mają 90 x x 60 cm, albo więcej. Pozwolę sobie jeszcze raz zauważyć, że nie jest to kwestią przypadku lub czymś drugorzędnym. Artyści coraz częściej imają się techniki rysunkowej realizując swoje koncepcje na powierzchniach rozległych — jak transparenty z hasłami wiary i nadziei.

IJK

Najgorzej latem

Tadeusz Kwiatkowski-Cugow

PRZYSPAWAŁ się w „Barylecz-ce". Mały był i dlatego znaczny. Jakby go sobie natura zaklepała do różnych celów i z tym znamieniem korniszona dała przydział na życie. Mówili o nim źle. Do roboty miał dwie lewe ręce. Gdzie się nie ruszy, wszędzie sobie biedy napyta. A to zegarek nosem wciągnie, a to komuś w mieszkaniu posprząta i z neseserem fantów powoli jak za pogrzebem idzie. Nagle przypomina sobie, że barek nie zrobiony i zanim zagoni wszystko do pasera, czasu minie od pyty. Wraca ze świeżą torbą, otynkuje ją od środka koniakami, i póki co jeden kielunek na miejscu przegoni i z głowy. Siada na fotelu przed lustrem bo to akurat na chacie doktora co bawił przydługo za granicą, i zdrowie panie hrabio mówi do siebie i już z kryształu drugą metę tankuje, a emeryt, świnia, co mu starość wszystko oprócz słuchu odjęła, szklankę do ściany i podsłuch prywatny, cabas za telefon i po herbacie. Wszystko przez tę muzykę, co podobno łagodzi obyczaje. Zasłuchał się w Beethovena i to go zgubiło. Sam szmer jeszcze by obleciał, bo brat doktora wpadał podlewać kwiaty, ale rzadko i płyt nie puszczał, tylko jazgotał cieleśnie oraz sprężynowo na płycie tapczanu, a stary człowiek to z życia ma tyle, co popatrzy albo posłucha. A tu coś innego, tapczan, cisza, szuflady drzwi, szef muzyka, to on za ten telefon cabas. Przy trzeciej secie, bo setę to on brał na raz, weszło dwóch bez pukania i „dzień dobry — mówią — co u pana słychać". A Oskar „może być, zdrowie jest, bo było, tylko łapy trochę świerzbią od tego sprzątania". On szklanki z barku wyjmuje i „weźmiem" mówi, jak na weselu albo w sanatorium. Ale na klawych chłopaków trafił, w japę nie dostał, pozwolili mu skończyć, bransoletki na zagrychę i „jadziem" mówią do Prokuratorii i to gazem, bo Prorok wychodzi na sprawę, to zdąży cię jeszcze zapuszkować i zjeść śniadanie a czasu za dużo nie ma. Tak mówił Motorek, specjalista od pogryzania i zaganiania kół samochodowych wszystkich marek. Całą brykę zająć małe piwo, ale zepchnąć nie idzie że znaczna. Same koła bardziej pasuje. No i za koło się mniej siedzi. Ten Motorek to tylko tak mówił, ale ostatnio wyciszył interes, bo już coraz ciaśniej się robi, większość siedzi, a znowu klapać parę kalendarzy za damskiego wała — żaden interes. Dla Oskara to on miał uznanie, bo szedł na robotę spokojnie jak na roraty, a on już dwa dni przed startem miał takiego cykora, że jak gdzie wróbel sfrunął z drzewa, to mu zaraz portki dostawały febry. Cudem bawił na wolności. Zawsze nazostawiał tyle śladów, że dla niewidomego odnalezienie sprawcy to małe zimne piwo. Powinien iść do kopalni — mówili o nim kumple z branży. Za grosz talentu. W tym fachu nie pożyje, za sztywne łapy, a siła to do gnoju. A szybkość też nie radzi przeciwko ich zradiofonizowanym samochodom w dodatku jeszcze z muzyką: la-li-la-la.

Oskar to poważanie u swoich miał niezgorsze. Wszystkim się podobało, że klawo szedł do pudła, jak na majówkę, albo na wycieczkę z Orbisem. Nigdy se nie szkodował, „pasuje i jeszcze ma luz" — mówił. Kto gra ten wygrywa, kto nie gra ten się obsrywa. Jeden kalendarz, dwa kalendarze, jaka różnica i tak do ziemi i tak do ziemi, a państwowa stołówka nie gorsza od kiosku, tylko że piwa nie chcą czegoś podawać, a ta czarna kawusia bez chmielu to lurencja. Nazywał się tak jak się nazywał, a co to kogo obchodzi, każdy ma swoją ankietę. Jeden się rozpisuje w rubryce odznaczenia, inny w rubryce karany, byle prawdę i tylko prawdę, bo za kit też popelina. Różnicy tu żadnej nie ma, ponieważ i odznaczeni i karani jednakie mają zasługi wobec grabarza, który życzliwie poklepie, a jak mu dobrze pójdzie, to jeszcze z tego poklepywania mu ćwiartka wpadnie jak pieczony gołąbek, ponieważ prawie za darmo. Zresztą co tu gadać, wszystko na jedno wychodzi i koń jeden nas wiezie Kasztanka, co będzie kiedyś robić za konia trojańskiego po prawej ręce. Raz tylko na milicji zapytali Oskara, jakie ma pseudo. „Żadnego" — on mówi — a wołają na mnie Oskar. Normalnie Oskar w miejsce tego od chrztu Gienek".

A wszystko przez jednego drakusa, co zażartował głupio i mówi, że w tym sądzie oni do ciebie po imieniu Oskarżony. A daj sobie spokój z tymi żonami, miałeś dwie i będzie, zostaniesz Oskar. No i narobiło się, jak Oskar to Oskar. I tak już zostało. Trochę siedzenia było, bo dziesięć kalendarzy na trzy i pół dychy życiorysu to nie w kij dmuchał. I to za nic, tyle że w sumie dycha jak za nielegalny ubój. Pewno, że za nic krzywdy nikt nie miał, biednym nie było brane, tylko bogatym i to takim, co z lewego uboju wyjmowali harmonię szmalu. Potem sądny dzień się na Szmulkach odbywał, Oskar z gracją targał dwudziestaka, a tego na raz, żeby się zbejał, nie przeje, nie przepije. A dzielnicowy Graczyk tylko figluje i pyta, czy pite było czy nie, a jak było, to krewa, skąd szmal, jak roboty stałej nie ma a prywaciarz nie puknie, że rabana zgodził na lewą partaninę. Żaden z chłopaków nie frajer, żeby nadać za czyje pił i skąd, raz w pijalni Ryba stał nabuzowany jak prezerwatywa wodą, co się ją potem takim różnym nadęciakom na łeb rzuca z wysokich pięter w nowym budownictwie. Tak stał jakby nigdy nic, a u niego przy dziesiątym piwie na kacu, wskakiwał na facjatę panieńsko-prawiczkowy rumieniec i do tego wytrzeszcz oczu jak przy takiej gałkowej chorobie albo jeszcze gorzej. Do tego wytrzeszczu jeszcze dochodziła szklistość jakby jego matka przed urodzeniem przestraszyła się butelki i każdemu, kto rzucił okiem na Rybę było jasne, gdyby ktoś, coś, już pachnie tekstem „w stanie wskazującym na spożycie alkoholu". Dobrze, że przynajmniej ostatnio przybastował z nerwami. Kiedyś jak się pchają do piwa, ktoś go lekko potrącił, nie było przeproś, łomot i koniec. Stoi tak sobie Ryba i wąs rudy moczy w piwie, jakby chciał w tym utrwalaczu zmienić jego kolor, wiadomo przy dziesiątym browarku pośpiechu nie ma, szmerek już obecny, gra i buczy. Przy pierwszym jakby mu do grdyki podłączyć szybkościomierz samochodowy, słowa albo lepiej na minutę, tak mu ta gruysa pędzi. A Graczyk obok, niby nie widzi, a na wszystko ma baczenie. Taki jest, że nie uśnie, skończy służbę, to jeszcze coś sobie wynajdzie. Tu zajrzy, tam popyta, kiar ma być w dzielnicy i koniec. Piwko strzelić można, tylko grzecznie i po pańsku i pośpiewać nie zaszkodzi, o dziesiątej spokój, żeby innym nie wadzić. Kiedyś sam też piwko złapał, a chłopaki jak to chłopaki zaraz chcieli z niego kumpla zrobić, zbastował i od tamtej pory nie ma przeproś. Ważne, że raptus nie jest, pogada, doradzi, da jeszcze ze dwie szanse, a jak nie, pod klucz i o jedno piwo do nalewania co rano mniej. Nasiąka się tak Ryba tym browarkiem, niby to z pragnienia, ale mus to już chyba jest, a poprzysiągł, że przestanie gazować. Dzień — dwa zgoda, a tu miesiączka jak nie idzie i roboty stałej widu ani słychu. Trochę w kąt się niewinnie przesunął, ale Graczyk już przy nim i mówi: „Znowu piłeś". A Ryba „Skąd panie dzielnicowy, tylko jedno, taką smakię od rana miałem". „To co ci się tak oczy świecą" — pyta Graczyk. — „Ano bo szklane mam panie dzielnicowy". Chłopaki w śmiech, on też, bo o co tu się gniewać, Ryba zawsze za zgrywusa robił, wszystko mu ujdzie, nie dawno sporządniał i wyspokojniał. Powiedział mu tylko, że ostatni raz go tu widzi, a jak się jeszcze kiedy w takiej sytuacji zobaczą, z mety na odwyk. Tego wieczoru gdzieś mi się Oskar zapadł i myślałem, że go nie spotkam. Zupełnie o nim zapomniałem. A mało to szemranych zapoznaje się przy piwie. Brakowało mi go chwilami, przednie numery opowiadał, a artyści zawsze mają skłonność do kwaśnych chłopaków.

Jechałem autobusem pośpiesznym, a pośpiesznym z powodu tęsknoty do mojej narzeczonej, dla której byłem jak marynarz, włócząc się po Polsce z teatrem wędrownym. Ona była tylko moja, ale figurantka okropna, praktyki zbyt dużej nie miała, ale wyobraźnię przestrzenną, daj Boże na dzień dobry każdemu reżyserowi! I tak byłem napalony, że ten pospieszny ślimakiem czesał, a mnie filharmonia zmysłów już instrumenty stroi, mam w łebku małym taki obrazek: ja kolejarz z gwizdkiem i na trzy ona majtki przez głowę ściąga i jedyny moścía panno astro ecs miłośnie. Myśli to tylko nic to, nic, ale może być. Każdy z nas musi w życiu chwilę za zboczeńca porobić, ponieważ mlecznota bez wychyłów — grób.

Przy Górnośląskiej, od strony kierowcy, głos jakby z piwnicy wycharczał inne imię i kiedy gnał od przedniego pomostu w moim kierunku, wydawał mi się być znajomy. Wypchany społeczeństwem autobus wydał pomruk niezadowolenia, może nie tyle z powodu tekstu, w którym i dla mojej mamusi też znalazło się miejsce, co sposobu docierania do mnie przez niemożebną ciżbę. Komentarze do autora dyskusyjnego tekstu dotyczyły głównie spustoszeń Amatorii rajstopowej i nie tylko. Wiedziałem o co chodzi. Kiedy się ze mną przywitał, wychynąwszy spod biustu tęgiej blondynki, podjąłem rękawicę i na równi z Oskarem z braku innego wyjścia zacząłem razem z nim po równo robić za skończonego chama, opoja i rzezimieszka. Blondyna, co mi poświęciła dwa uśmiechy przylapawszy moje spojrzenie na swoim potężnym biuście ujęła wszelkich szans odwracając się ze wstrętem. Po kordialnych powitaniach Oskar zażądał czterech blaszek tytułem honorarium prawdopodobnie za teksty posypane po uszach autobuśników, co mogło też z powodzeniem stanowić podatek od naszej znajomości. Sześć dych nie zasada, każden szczęście swoje zbada, przypomniało mi się z jarmarcznych kmin. Co to jest sześć dych wobec nieosiągalnego przez szaraków diogenejskiego spokoju.

Gest mój zatrząsł jednak Oskarem i poruszył go do głębi. Mowa traktowana jako żulicki dowcip potraktowana z powagą i wyrozumiałością. Gest ten napędzany wyobraźnią, zaszklił kacowe oko Oskara łzą najczystszą i wtrącił go w zadumę przetykaną jakąś tajoną rozpaczą. Patrzył za okno autobusu i łkał z cicha: „Patrz Tadek wiosna, ale nie dla mnie, znowu jedna wypadnie z kalendarza. Już trzy razy przychodził Graczyk i mówił: „Zawsze tak chętnie szedłeś a teraz się boisz, jeszcze ci tylko rok brakuje i szlus". A ja mówię: „Panie dzielnicowy, na zimę pójdę na wiosnę nie da rady. Patrz pan, dziewczyny chodzą tak lekko ubrane, duże klepanie się zanosi, trawa zielona, piwo zimne. Nie da rady, zawsze można brakujący rok odwalić, ale nigdy wiosną, a już najgorzej latem".

Henryk J. Kozak

Z OKNA

Widok z mojego okna jest szary
fabryczny dym i kurz
a w dole groźnie pomrukują
samochody

w świetle ulicznych latarń
wieżowce
drżą i chwieją się jakby
miały ochotę rzucić się na bruk
aż ulica kryje się za krzewami

ale wciąż płoną
wszystkie okna
za firankami płacz
i miłość
praca
nastawianie zegarów
i materializują się marzenia
na ekranach telewizorów
rozczuleni mężczyźni całują żony
gaszą światło
wypalają ostatniego papierosa

zanim zasną długo
patrzą przed siebie
w zawieszony tuż nad głową
sufit

Tomasz Skrzymowski

OGIEŃ KONNY

Spaliło się wszystko
wiatrak, las i mono — sylaba
tylko konie przesuwają się ociężale
po czerwonej łące, po rudym niebie
Teraz płyną — wciąż ociężale
Wspomnienie nadjeziornego wieczoru
samotnego wędkarza przyćmiewa
blask OGNIA KONNEGO
Spaliło się wszystko;
spopielała trawa jest wciąż
czerwona.

* * *

Kilka słów tak potrzebnych
daj mi, trochę cierpliwości
i rezerwy chłodnej
Spraw, aby kilka łez
dziewczyny
pobłogosławiło rękopis wiersza
pisany w dzień
twego odejścia, przyjacielu.

NOTATKI SPOD BŁĘKITNEJ FLAGI (III)

Zbigniew Domino

„Indonezyjczycy to nawet w środku nocy trąbią" — opowiada st. sierżant Stanisław Klatt, dowódca stacji uzdatniania wody, który na Mike jest od pierwszych dni dziesiątej zmiany. Pokazuje mi swoje gospodarstwo, prezentuje podwładnych. Razem z nim jest ich tylko sześciu: kpr. Jan Tkacz i szeregowcy Władysław Lubieniecki, Henryk Nogal, Leopold Niedbałowski i Zdzisław Biernacki. A gospodarstwo, choć niewielkie — dobrze zorganizowane, schludne i zadbane.

„Co wy tu robicie?" — pytam Klatta. Czuję w jego spojrzeniu ubolewanie dla mojej ignorancji, ale niech tam, przynajmniej wytłumaczy dokładnie, jak się na pustyni uzdatnia wodę. Klatt prowadzi mnie do okolonego falistą blachą ogródka. Wstęp tylko dla personelu stacji. Pokazuje ujęcie wody. Skąd? Z Izraela. I ONZ za tę wodę Izraelczykom płaci, za każdy litr! Biznes is biznes. Ale ta woda, to woda — mówiąc językiem fachowym — przemysłowa, do spożycia się nie nadaje. Stacja łapie ją do wielkich brezentowych basenów, każdy o pojemności kilku tysięcy litrów, i tam poddaje procesowi chlorowania.

Sierżant pokazuje ile osadu, widocznego nawet gołym okiem, pozostaje po tej wodzie łapanej z wodociągu. Po odpowiednim czasie chlorowana woda musi przejść proces odwrotny, czyli dechloryzację. Wtedy do akcji wchodzi umieszczona na naszym poczciwym starze Filtracyjna Stacja Oczyszczania wody. Motorek pracuje, pompy ssą wodę, która na stacji oczyszczania przechodzi przez potężne filtry „z węgla aktywowanego", jak mi to fachowo i już z przejęciem tłumaczy Klatt, a stamtąd — czysta i nadająca się do spożycia spływa do kolejnych brezentowych basenów. A potem już sprawa prosta: podjeżdżają cysterny, tankują, i ruszają w pustynię. Ile tej wody na dobę dajecie? Sierżant odpowiada bez mrugnięcia oka: 200 tysięcy litrów. Myślałem, że się pomylił. Ale nie, zgadza się. Codziennie 100 tysięcy litrów dostarczają cysterny na poszczególne posterunki, więc następne 100 tysięcy musi być gotowe. I tak dookoła Macieju.

Woda z izraelskiego, ciągnącego się prawie przez cały Synaj, rurociągu nie zawsze ma właściwe ciśnienie. Zwłaszcza w ciągu dnia. Pracują więc chłopcy z Mike i ich sierżant po nocach. Odsypiają swoje w dzień, jeśli się uda. Ale na Mike ruch. Stale wstępuje ktoś z Polaków jadących w bufor. Tutaj nasi kierowcy uzupełniają zapasy wody i paliwa. Tutaj Bednarski, który kucharzy dla swoich, nigdy gościom nie odmówi garnuszka „dżusu" czy herbaty. Nawet w tej chwili, choć to samo południe i sobota, na Mike rojno. Oprócz nas jest jeszcze ppor. Kocemba z Suezu ze swoimi kierowcami. Dziś mają dzień konserwacji sprzętu, więc co się da, załatwiają tutaj na Mike. Jest sierż. Nowosadzki z Ismailii, który jak sam żartuje, jest takim objazdowym specjalistą od obsług technicznych dla całego buforu. W tym czasie, kiedy z Klattem oglądamy stację, porucznik Szczygielski — jak przystało na zastępcę — zdążył już pogadać z ludźmi, zainteresować się sprawami każdego z osobna, sprawami często bardzo osobistymi, jakich na zbiórce czy na odprawie załatwić się nie da. A chłopcy z Mike, tak jak wszyscy nasi żołnierze, chcą, na te sześć miesięcy, mieć tutaj choćby tylko namiastkę domu. Więc urządzają się przytulnie, wygodnie. Gdzieś tam, w kąciku za basenem, wypatruję coś zielonego. „Arbuza posialiśmy" — tłumaczą. — „Może wyrośnie". Choć troszkę zieleni cieszy oko na pustyni. I gołębie! Na Mike chłopcy hodują kilka par gołębi, które przywieźli z Suezu. Wyszykowali im gołębnik i dziusy dziusy na krok się z Mike nie ruszają, z ręki jedzą. Stół ping-pongowy. Taśmy. Ale dobre radio by się im przydało. Szczygielski nie obiecuje, ale dyplomatycznie mówi, że postara się coś zrobić. I pyta nr odjezdne czy któryś z załogi nie ma już tego Mike dość, może do Suezu chce pojechać i tam pobyć? Nikt się nie zgłasza. Przyzwyczaili się tutaj, zżyli z sobą, ze swoim dowódcą, a to dla żołnierza sprawa niebagatelna. Jeszcze tylko porucznik uzgadnia kto i kiedy na jaką wycieczkę pojedzie, np. w najbliższym czasie do Kairu czy do Aleksandrii — żegnamy się i ruszam do Suezu. I tak się już spóźniamy, a z przeprawą sueską, jak wiadomo, żartów nie ma. Pędzimy więc przez pustynię w stronę Kanału Sueskiego i nikt z nas nie ma pewności czy nie przyjdzie nam spędzić nocy na jego azjatyckim brzegu. Wszystko zależy od przeprawy, a tego czy dzisiaj będzie o czasie nawet sam Allach nie jest w stanie przewidzieć...

ZARTUJEMY, a chłopak i pies naprawdę nie mogą się rozstać. Ruszamy. Ali przez chwilę biegnie za gazikiem, ale potem rezygnuje. I znowu długa droga przez pustynne przestrzenie, kręte kaniony i dzikie synajskie góry. Poranne, inaczej padające promienie słońca odkrywają ich surowe piękno. Rano można też gołym okiem dostrzec izraelskie umocnienia i posterunki obserwacyjne. Patrzymy na zegarki. Zdążymy na 10-tą, bo o tej parzystej godzinie Izraelczycy przeprowadzają konwój przez swoją strefę. Jesteśmy za kwadrans dziesiąta. Indonezyjczycy, gościnni jak zwykle, serdecznie zapraszają do swojego baraku. Skromnie tam u nich. Ale gościnnie. Za minutę 10-ta jesteśmy już przed izraelskim szlabanem. Podchodzi żołnierz, prosi „aidikarty", coś tam długo pisze w swoim zeszycie i odchodzi. Widzimy, że bierze słuchawkę telefoniczną i rozmawia. Potem siada i nie spuszcza nas z oczu. Jest już pięć, dziesięć minut po 10-ej. „Co jest — denerwuje się Bochenek, który często tę trasę ze swoją cysterną przemierzał — jak my spóźnimy się pięć minut, to oni nie zaczekają, tylko jadą, a nas trzymają potem całą godzinę. A teraz?". Ma rację. Marek naciska na klakson. Izraelczyk wychodzi z budki, rozkłada ręce i mówi „one moment". Znów telefonuje. Domyślamy się, że po raz drugi wzywa samochód, który nas będzie konwojować. I rzeczywiście, do posterunku zbliża się na dużej szybkości najeżony antenami jeep. Jest piętnaście po dziesiątej. Mówimy, że to nie fair. Wartownik przeprasza i unosi szlaban.

Ponad dwadzieścia kilometrów jedziemy tuż za prowadzącym nas nzraelskim jeepem. Jeśli zwalniamy, on także natychmiast redukuje szybkość. Okolica skalista. Martwa, górzysta pustynia. I znowu izraelski posterunek. Jeep skręca i znika za budką wartownika. Ten wstaje, podchodzi i prosi o „aidikarty". Tak na oko, po trzydziestce. Patrzy na nas i pyta: „Polska?" Z bezbłędnym akcentem. Wpadam mu w słowo. „Tak. A pan mówi po polsku?" „Nie", odpowiada niemal machinalnie, po polsku, oczywiście, i śmiejąc się ze swojej mimowolnej wpadki, przechodzi na angielski.

Po drugiej stronie czeka przy uniesionym szlabanie Indonezyjczyk w błękitnym hełmie. Do Mike docieramy przed dwunastą. Słońce w zenicie. O upale lepiej nie wspominać. Przed paroma dniami złapali tutaj 70°. Celsjusza, żeby nie było wątpliwości. Tak tu jest, na Mike. Kto ma dokładną mapę Synaju, ten Abu Zenimę na niej znajdzie. Ale Mike próżno by szukać, choć leży na skrzyżowaniu ważnych dróg przecinających Synaj. Niedaleko przełęczy Mitla, obok prowadzącej do Suezu starożytnej „Drogi Pielgrzymów". Szykując się na dłuższą okupację, Żydzi podciągnęli aż dotąd wodę, rozbudowali sieć dróg. Kiedy ONZ objął ten teren strefą buforową i rozlokował w tej niezwykle ważnej ze strategicznego punktu widzenia okolicy dwa bataliony — ghański i indonezyjski oraz liczne posterunki obserwacyjne — Mike stał się niezwykle ważnym punktem, stąd najporęczniej było transportować wodę. Transportować to mało. Wodę trzeba było uczynić zdatną do spożycia. I tego, w ramach przypadających na nich zadań logistycznych, podjęli się Polacy. Na Mike zainstalowano polską Filtracyjną Stację Wody — 8000 i wydzielono niewielką załogę do jej obsługi. I tak narodził się Mike, bez którego w tej chwili trudno sobie nawet wyobrazić prawidłowe funkcjonowanie sił UNEF w tym rejonie, gdzie woda jest wszystkim. A Polacy właśnie tej wody dostarczają. Dobrej, zdrowej, pitnej wody. Niepozornie, zwłaszcza z daleka, ten Mike się prezentuje. Ot, taki sobie niewielki baraczek z falistej blachy, zagubiony na szczerym pustkowiu. Bo rzeczywiście, dokąd wzrok sięgnie, nic nie widać, tylko skały i piach. Ani jednego drzewa, krzaczka, nawet kępy trawy na Mike nie uświadczysz. Obok, jakieś sto metrów stąd, po przeciwnej stronie drogi ghański posterunek kontrolny. Po drodze, co jakiś czas śmigają samochody UNEF. Rzadko który przejedzie, żeby przerywanym, wesołym sygnałem nie pozdrowić Polaków na Mike.

Po drugiej stronie klatki...

Dokończenie ze str. 3

przewrócić. Odebrali jej to, gdzie żyła i w mieście nie mogła się przyzwyczaić. No, ale prawda że przegroda z desek była.

— Gdybym ja tam w ciągu tych trzech tygodni zajechała, to bym powiedziała: Ojciec — coś ty zrobił, za pochopnieś to zrobił. Ale było jej coś potrzebne, żeby ona zamknięta była.

— Twój brat powinien ostro i zdecydowanie powiedzieć: Tato, nie rób tak. A w ogóle powinien ładnie zrobić, deski oheblowane, pomalowane.

— Ojców mi szkoda, tyle się napracowali przy tym domu.

— Ale zrobił jeden błąd i musi cierpieć.

— No tak, ale ona by może sobie sama śmierć zrobiła, a oni nie dopuszczali do tego.

— Ja pierwsza wam mówiłam, że nie trzeba było babki ze wsi brać — powiedziała sąsiadka.

— Jak normalnie myślała, dwa, trzy lata wstecz, to jeszcze jakoś było do wytrzymania, a później...

— Ale wiesz, zagrodził, jak nie człowieka.

— Potrzeba jej było coś zrobić — powiedziała gospodyni. — On może nie myślał, że z tego taka afera wyniknie. To było zrobione na tymczasem.

W tym momencie wtrącił się mąż gospodyni, który w milczeniu słuchał dialogu kobiet:

— Bądźmy bezstronni, nie jesteśmy dziećmi. Jak mogli to zrobić? Nikt nie pomyślał o konsekwencjach.

Żona popatrzyła na męża, była zdenerwowana.

— Babka nieraz rodzicom powiedziała coś przykrego — rzuciła. — Bo stary człowiek jest naprawdę naprzykrzny. Opiekun społeczny proponował, żeby babkę oddać do domu starców. Ale ojciec mówił: Gdzież matkę oddam. Co by ludzie powiedzieli?

Wspomniałem, co ludzie piszą w listach. Była chwila milczenia. Wreszcie sąsiadka podsumowała:

— Gdyby babka była całkiem świadoma, i ojciec by jej tak zrobił to bym się z tymi listami zgodziła.

— Właśnie, ludzie nie wiedzą, jaka babka była. Dziadek to jeszcze tyle rzeczy sprzed wojny pamiętał, a z babką nie można było rozmawiać.

— Nikt z nas nie wie, jaki będzie na starość — powiedziała sąsiadka.

— No tak, nikt nie wie — potwierdziła jej słowa druga kobieta.

A potem opowiadała, że gdy w parę dni po wywiezieniu babki przyszła do brata na imieniny i chciała mu złożyć życzenia, to on się bardzo rozpłakał.

— I jeszcze ojcu mówiłam: Tatusiu coś ty zrobił? Co wyście zrobili?

— To tak na tymczasem, bo co miałem zrobić — odpowiedział jej ojciec.

— Ale ojciec jest w tym wszystkim niewinny — dodała — bo on tak dbał o babkę, jak mało który zięć.

Na argument, że przecież można było nie brać lokatorów i przeznaczyć dla babki jeden z pokoi na parterze, kobieta po dłuższym milczeniu odrzekła powoli i nieco ciszej:

— No, co ja mogę powiedzieć. Nic nie mogę powiedzieć.

Bronisław Kowalski

Kamena str. 12

Listy do gerwazego

DO LITERATA dzwoni telefon z zaproszeniem na spotkanie autorskie. Zdawałoby się: macie defetyści, nie zanika popularność literatury w społeczeństwie. Tymczasem zjawisko jest innego rzędu. Zakład musi mieć świetlicę, świetlica — kaowca, kaowiec — plan pracy. I rzecz zamyka się w trójkącie instytucja zamawiająca — autor — audytorium. Instytucja wcale nie jest zainteresowana twórczością pana X, ponieważ ma na głowie sprawy o wiele bardziej naglące. Audytorium — szczególnie jeśli w ostatniej chwili zmobilizowane z młodzieży szkolnej, która — obok — niekiedy — wojska jest wypróbowanym gwarantem „frekwencji" — bynajmniej nie pasjonuje się tematem spotkania ani osobą spotkanego, ale lojalnie półtora godziny wyczekuje markując uwagę. Autor musi być zdecydowanym narcyzem, by w tych warunkach imprezę zapisać na konto swoich zysków.

I cóż? Ja bym nawet nie widział przyczyny w tym, że dzisiejszy człowiek jest zagoniony. Że jak dostał mieszkanie, to szuka kogoś do „wstrzelenia" kołków na karnisze, jak czeka godzinę na trolejbus a potem ciśnie się w nim jak śledź, to ma siłę tylko na włączenie telewizora, jak marzy mu się 126p, to biega za fuchami i pracami zleconymi. Widzę generalną zmianę stosunku do literatury ze strony czytelników. Czy ta zmiana nastąpiłaby, gdyby literatura była inna, czy jest spowodowana jej autodegradacją, pozostawmy socjologom. Fakt, że nie ma już czytelników, którzy przy oknie z firanką odkładają na moment książkę, by uniósłszy wzrok tym dokładniej przemyśleć treść przeczytanego fragmentu. Zdaję sobie zresztą sprawę, jak staroświecki naszkicowałem obrazek.

Spotkanie autorskie wytwarza teraz milczące sprzężenie zwrotne. Podejrzewają słuchacze: oto ten, co za 500 (600, 800) zł przyszedł nam wstawić kminę, bo sam nie spodziewa się chyba, że wobec jutrzejszej odprawy w zjednoczeniu interesuje nas wczesna literatura romantyczna w Anglii, albo fragment jego powieści. Podejrzewa autor: wiem, że tylko czekają, bym skończył i wiem, że patrzą na mnie jak na tuklę mającą odegrać rolę w sztuce wzajemnego przyprawiania sobie „gęby". Wyobraź sobie, że ostatnio odbyłem parę spotkań autorskich. Za każdym razem miałem wrażenie, że sala swoim milczeniem mówi: „Autorze, masz pretensję do znajomości życia. Powiedz wreszcie, że nasze zainteresowanie twoim wywodem jest grą spowodowaną przez układy organizacyjne, przez koleżeńską życzliwość wobec kierownika k-o, który musi się wykazać. Jeżeli tego nie wiesz, nie jesteś autorem, a jeśli wiesz i nie mówisz, to przyjmij do wiadomości, że również nie trafiłeś na naiwnych. Odsiedzimy. Dla kierownika, który musi mieć pozycję w sprawozdaniu, dla ciebie, któremu się przyda 500 (600, 800) zł".

Więc czy literatura, która ma być radością dla ducha, nie staje się utrapieniem dla ciała? Czymś, co wśród odpraw, remontów, wywieszek z napisem „deratyzacja" plącze się bez niczyjej potrzeby samo siebie degradując złym towarzystwem? Przecież to miało kiedyś coś z błękitu ducha, tęsknoty do absolutu (często też absyntu), porywu serca ku rzeczom pięknym i wzniosłym. Mówię to bez ironii. „Odi profanum vulgus et arceor" — pisał Horacy. Teraz byle pomocnik w punkcie skupu ma prawo do tego obrócić się plecami, bo jego w tym względzie brak zorientowania został rozgrzeszony rozprawą teoretyka kultury o zmierzchu pięknej sztuki słowa. To też mówię bez ironii. Taka jest rzeczywistość. Nie będę płakał. Ale nie ma co klajstrować faktu, że literatura w zainteresowaniu społecznym spada. Mimo rozchwytywanych nakładów, mimo ogonków przed kioskami działających na czasopisma jak odśnieżający pług. Co też jest jednym z polskich paradoksów.

I w ogóle wiele zjawisk naszego życia literackiego to rytualne gesty ofiarne na cześć boga, w którego nikt nie wierzy. A w najlepszym razie coś z umysłowego konwenansu, którego zasadom nie wypada i nie jest korzystne uchybiać. Bo nie uchybiać przynosi profit towarzyski i finansowy. Powiesz, że przesadzam. A cóż wyrabia pisarz choćby najbardziej utalentowany i płodny, jeśli w jego dziełach nie ma perspektywy filozoficznej, natomiast jest cała masa załapywanek zagranych na dolne — a w gruncie rzeczy denne — obszary czytelniczego gustu? Oszukuje siebie? Nie posądzam, żeby był taki naiwny. Ale wydaje mu się, że oszukuje mnie — bo na tyle naiwny jest. Nie znaczy, że ja jestem takim Włodzimierzem Maciągiem, ale wystarczy trochę czytelniczego doświadczenia, by ujrzeć, że kurs literatury w stronę komiksu nie jest wypadkową jej tendencji rozwojowych, lecz ustępstwem na rzecz niższych wymagań przy osłabieniu jej zdolności pedagogicznych. Literatura nie będzie znaczyć jako twórczość, jeśli przynajmniej nie zaoponuje przeciw wciąganiu jej w podejrzane satysfakcje. Będzie znaczyć jako komiks, jako wakacyjna przygoda, jako dyskoteka.

Nie wiem jak rozmawiać dziś z czytającymi i piszącymi. Powiem „obraz życia"? Dla nich obrazem życia jest spotkanie z Jolką już nawet bez względu na to co z tego wyniknie. Powiem „refleksja filozoficzna"? Oni uważają, że to coś od futurologów, Dänikenów, Dittfurthów, Frommów, bo Bergson, Freud, Mauriac już w świadomości kulturowej nie „funkcjonują". Powiem „prawda psychologiczna"? No więc prawdą psychologiczną będzie, jeżeli bohater powieści sobie poklnie, bo to udowodni, że się nie ubiera w maskujące pozory. I nawet nie chcę powiedzieć, że się coś zwulgaryzowało. Choć to prawda. Chcę powiedzieć, że zmienił się typ reagowania na literaturę. Dzięki czemu wystarczy być Januszem Andermanem, by znaleźć się w czołówce młodego pisarstwa. A jak trudno było kiedyś być Brunonem Schulzem!

No cóż. Kartki z kalendarza lecą to czym mi nawet nikt wiersza nie napisze, a jak napisze, to po odczytanie musiałbym się udać do maszyny szyfrowej), a my się ciągle pocieszamy, że to jakiś przełom, załom, a nie złom.

Protazy

NOTATNIK MUZYCZNY

Stefan Münch

W OSTATNIM odcinku *Notatnika* zabrakło, jak moi uważni Czytelnicy z pewnością dostrzegli, wzmianki choćby o koncercie inaugurującym obchody 50-lecia istnienia Towarzystwa Śpiewaczego „Echo". Początkowo zamierzałem całościowo omówić jubileuszowe *fêtes* zasłużonego chóru przy okazji marcowego koncertu *a cappella*, lepiej jednak będzie trzymać się porządku chronologicznego. Na program złożyły się sceny chóralne z następujących oper: *Halka* i *Straszny dwór* Stanisława Moniuszki, *Ernani*, *Rigoletto* i *Nabucco* Giuseppe Verdiego oraz *Faust* Charlesa Gounoda (w Niemczech operę tę zwą *Margarethe*, oburzając się z powodu „profanacji" arcydzieła ich narodowej literatury). Aby dać chórowi chwile wytchnienia, orkiestra wykonała uwertury i intermezza Rossiniego, Mascagniego i Moniuszki. Należycie doceniając niemałe umiejętności członków „Echa", ich zapał i radość płynącą ze śpiewania, nie mogłem wszakże oprzeć się wrażeniu, że cały program — zwłaszcza w części Moniuszkowskiej — obliczony był trochę na to, aby chórzyści pośpiewali sobie, jak mawiają w Italii, *ad alta voce*, czyli z użyciem pełni możliwości strun głosowych. Zabrakło tu scen o wybitnie lirycznej ekspresji, skłaniających wykonawców do głębszej refleksji i pohamowania swych temperamentów. Poza tym nie bardzo rozumiem, czemu to z wyjątkiem *Va pensiero sull'ali d'orate* z *Nabucco* inne sceny chóralne Verdiego i Gounoda śpiewane były po polsku. Fakt, że Francesco Maria Piave nie dorównywał z pewnością Victorowi Hugo, na którego tekstach oparł się, pisząc libretta do *Ernaniego* i *Rigoletta*. Lepszy jednak oryginał włoski, choć nie rozumiany przez większość słuchaczy, niż porażający swoją banalnością przekład. Kto mi nie wierzy, niech sam się przekona, jak rozpaczliwe bywają tłumaczenia librett...

Nowy Rok filharmonia powitała dwoma koncertami w karnawałowym nastroju. Jerzy Karolus zaprezentował nam czworo swoich uczniów: Małgorzatę Kazanowską, Ewę Gajewską, Zdzisława Soszkę i Janusza Wojciechowskiego. Wszyscy dysponują dobrze postawionymi głosami o ładnej barwie, dość szerokiej skali — dzięki czemu można mieć nadzieję, że ich talenty rozwiną się prawidłowo. Interesujący, zwłaszcza w dolnych rejestrach, głos Ewy Gajewskiej najefektowniej „pokazał się" w mezzosopranowej arii Azuceny z Verdiego; Małgorzata Kazanowska, mająca już za sobą debiut na zagranicznym konkursie, najbardziej podobała mi się w arii *Ah, je ris de me voir si belle en ce miroir* z *Fausta*; bas Janusza Wojciechowskiego usztywniła trema w *Non piu andrai* (*Wesele Figara*) i dopiero w arii *La calunnia è un venticello* (*Cyrulik sewilski*) objawił pełnię swych możliwości. Najmniej może entuzjazmu wzbudził we mnie Zdzisław Soszka, tenor Teatru Wielkiego, który szczególnie w arii Cavaradossiego *E lucevan le stelle* ujawnił defekt emisji zwany pospolicie „dmuchaniem". Przy okazji tego koncertu zdarzyło mi się znowu wycytować w lubelskiej prasie, że m. in. wystąpiła w nim Alicja Raciszówna i duet tancerzy, choć Jerzy Karolus na wstępie przeprosił publiczność za ich nieobecność.

Podobnie karnawałowy charakter miał koncert zatytułowany „Strauss i inni", prowadzony przez Witolda Krzemieńskiego. W programie znalazły się uwertury, walce i polki „króla walca" oraz arie z operetek różnych kompozytorów śpiewane niezbyt fortunnie przez Halinę Słonicką, która po prostu nie najlepiej czuje się w tym rodzaju muzyki. Bardzo udanie zaprezentowali się natomiast lubelscy filharmonicy: precyzja, dbałość o szczegóły, brawura — w utworach, zdawałoby się, błahych i obcych stylowi orkiestry.

Krzysztofa Jakowicza pamiętamy sprzed dwóch lat, gdy grał Koncert D-dur Beethovena, przyjęty owacyjnie przez publiczność. Tym razem usłyszeliśmy go w innym *chef d'oeuvre* literatury wiolinistycznej — w *Symphonie espagnole op. 21* Edouarda Lalo. Utwór ten, dziś służący edukacji młodych skrzypków, nie zaleca się wyjątkową głębią wyrazu, przeważają w nim natomiast elementy wirtuozowskie. Nie jest to wszakże koncert instrumentalny, tylko raczej symfonia z solowym instrumentem, stąd ważna i odpowiedzialna rola orkiestry. Filharmonicy tym razem nieco zawiedli: hałaśliwe tutti, w czym główny udział miała blacha, przypominająca „przeraźliwe echo trąby ostatecznej" (części I i IV), usterki rytmiczne (np. w *Allegro molto*) i niedokładności metrum komplikowały znacznie sytuację solisty. Wydaje mi się, że dyrygujący gościnnie Karel Nosek (CSRS) nie dość dokładnie obmyślił sobie koncepcję interpretacyjną dzieła Lalo i w rezultacie nie potrafił opanować „potknięć" orkiestry. Krzysztof Jakowicz natomiast ukazał całe bogactwo i różnorodność materii dźwiękowej Symfonii hiszpańskiej, jej wartości kolorystyczne, zmienną rytmikę i południowy odcień ekspresji. Umiał jednocześnie uczynić ten utwór, niebezpiecznie zbliżający się do granicy formalnego wirtuozowskiego popisu przedmiotem osobistego przeżycia, którego cząstką obdarzył słuchaczy.

Karel Nosek i orkiestra zrehabilitowali się całkowicie w *VIII symfonii G-dur op. 88* Antonina Dvořaka. Skupiona, dokładna gra, koncepcja całości dopracowana w najmniejszych szczegółach, swobodne prowadzenie narracji muzycznej, wyeksponowanie walorów melodycznych — oto cechy tego wykonania. W finałowym *Allegro ma non troppo* zadziwiającą metamorfozę przeszły trąbki, czego efektem piękne solo inaugurujące tę część. Doskonale wypadli też klarneciści (T. Smogorzewski i A. Mazur).

Osobliwą „syntezą sprzeczności" był koncert prowadzony przez Johna Mc Gowana, profesora Wydziału Muzycznego w Lock Hawen State College (Pensylwania), przebywającego w naszym mieście na zaproszenie władz uniwersytetu. W części pierwszej usłyszeliśmy uwerturę do *Wesela Figara* Mozarta oraz *Symfonię Es-dur nr 103 „Mit dem Paukenwirbel"* Haydna i z przykrością muszę stwierdzić, że na estradzie działy się rzeczy niepokojące: dyrygent nie umiał przekazać orkiestrze swego zamysłu interpretacyjnego i po prostu momentami nad nią nie panował. Rezultatem było więc rozluźnienie się i dekoncentracja niektórych muzyków, co rychło dało się słyszeć w postaci rytmicznych niedokładności, zachwianych proporcji dynamicznych, braku współbrzmienia, wreszcie tzw. „kiksów". *Andante* z *Symfonii Es-dur*, skomponowane w formie wariacyjnej, o temacie, w którym pobrzmiewają już echa tematów beethovenowskich — owe *Andante*, uznawane za przykład maestrii Haydna, toczyło się w tempach niezrozumiale wolnych i przyciężkich. Z tym większą obawą można było oczekiwać *Koncertu fortepianowego a-moll op. 17* Ignacego Paderewskiego, dzieła utrzymanego w późnoromantycznej konwencji, o dużej inwencji melodycznej, stawiającego duże wymagania pianiście, zmuszającego zaś orkiestrę do precyzyjnego podążania za jego myślą. Piotr Paleczny udowodnił tu jeszcze raz, że jest solistą najwyższej klasy. W początkowym *Allegro* znakomicie poradził sobie z bardzo trudnym, wirtuozowskim przetworzeniem tematów (rozłożone akordy, pasaże, ozdobniki), w *Romansie* zaś (część II) umiał wyeksponować obecne w dziele Paderewskiego, choć przytłoczone nieco przez pierwiastek wirtuozerii, elementy głębszej refleksji i poetyckiego liryzmu. Gra Palecznego była prawdziwie pasjonująca. Oprócz pewności, rzetelności i doskonałej techniki (o czym wiemy od kilku lat) jego sztuka pianistyczna porywa swą dynamiką — cała akcja muzyczna jest realizowana w kategoriach ruchu, niesłychanie żywiołowego, ale zarazem płynnego i precyzyjnego. Do tego we fragmentach wolnych obok podskórnie pulsującego dynamicznego żywiołu dochodzi do głosu pastelowa, subtelna kolorystyka. Siłą swej osobowości Paleczny potrafił porwać także i orkiestrę, dzięki czemu mogła ona częściowo zatrzeć wrażenie, jakie sprawiła w pierwszej części wieczoru.

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 100 LATY

● Przypomnienia robót gospodarskich: Młócić zboże, opatrywać inwentarz, kończyć tuczenie trzody chlewnej. Przezoły strzec od zimna, zaglądać do kopca, puścić im na parę godzin powietrza.

Na Nowy Rok, mieć woły gotowe na sprzedaż, a w ich miejsce na stajni inne. Na cztery tygodnie przed sprzedaniem, wywar lub parzonkę obsypywać im ospą owsianą lub mąką bobową, stąd wół nabiera łoju zwanego przez rzemieślników piórkiem. Kupując wołu, uszczypnąć go po żebrze, jeżeli skóra odstaje, bo choć chudy a ma dobre zęby — dobry jest do kupna — a jeżeli skóra do żeber przylega, przyschnięta, nie kupować, bo ten nigdy nie będzie tłusty, szerokie stąpanie oznacza dobrego wołu.

„Kalendarz Lubelski"

PRZED 75 LATY

● W sobotę wieczorem przyjechał do naszego grodu gorąco oczekiwany Sienkiewicz, z córką i jej przyjaciółkami. Na dworcu gości przyjmowało grono obywateli miasta. Po niedługim odpoczynku goście udali się na bal urządzony w sali Towarzystwa Muzycznego. Sala balowa literalnie natłoczona, galerie przepełnione, do pierwszego kontredansa stanęło 90 par. Uwaga wszystkich zwrócona była na naszego wielkiego pisarza. Sienkiewicz serdecznością i prostotą ujmował sobie wszystkich, w ściślejszym kółku przedstawicieli prasy miejscowej i korespondentów do pism warszawskich. Na cześć „największego z żyjących Polaków" redaktor naszego pisma Piasecki, wzniósł pierwszy toast. Po czym Sienkiewicz ożywioną prowadził rozmowę z wieloma panami i paniami a widocznie zachwycony był dziarskim mazurem, w którym wzięły udział najpiękniejsze lublinianki.

„Gazeta Lubelska"

PRZED 50 LATY

● Tutejsze Towarzystwo Nauk pomimo szczupłości środków, stara się usilnie o to ażeby ożywić ruch wydawniczy w Lublinie, mieście, które ma wiele tytułów do tego, by liczyć się do rzędu większych ośrodków. Rzecz oczywista, że Lublinowi daleko jeszcze do tego, ażeby pod względem umysłowym i wydawniczym dorównać takim miastom prowincjonalnym jak Kraków lub Poznań. Dobrze, że przynajmniej nie ma zupełnego w tym kierunku zastoju, bo to, co jest, pozwala spodziewać się lepszej przyszłości. Świeżo wydało Towarzystwo dwie publikacje, cenne pod względem treści, oraz stojące na dużym poziomie artystycznym, zwłaszcza, że wiąże się ściśle ze sztuką. Jedna z nich ma charakter regionalny. Jerzy Siennicki: Kamienica Celejowska w Kazimierzu Dolnym. Druga publikacja ma charakter ogólniejszy. Konstanty Kietlicz Rayski: Sztuka góralska na Podhalu.

● Zwierzyniec lubelski ma być zlikwidowany — tak postanowiono na posiedzeniu Magistratu dnia 13 grudnia r. ub. Zapytujemy dlaczego? Podczas gdy inne miasta dążą do zakładania u siebie ogrodów zoologicznych, zabiegają o fundusze na ich powiększenie i sprowadzanie coraz więcej i piękniejszych okazów, u nas przeciwnie, zamiast zaopiekować się tym, co już jest zapoczątkowane, niszczy się je i usuwa niewiadomo dla jakich pobudek. Chyba względy oszczędności nie mogą tu odgrywać poważnej roli, ogród zoologiczny prowadzony starannie, pozostaje pod troskliwą opieką miasta — może służyć w przyszłości — do poglądowych lekcji zoologii (tak jak to jest wszędzie), może również stać się ozdobą świadczącą dobrze przed licznymi wycieczkowiczami o jego gospodarce. Rozumie to mniejszy od Lublina Zamość, którego zwierzyniec nabiera coraz większego rozgłosu.

„Głos Lubelski"

● Wczoraj w godzinach przedpołudniowych mieszkańcy i przechodnie Krak. Przedmieścia wstrząśnięci zostali gwałtownym hukiem przypominającym wybuch dynamitu. Jak się okazało, detonacja nastąpiła w sklepie materiałów elektronicznych na rogu Krak. Przedm. i ul. Pijarskiej. Zamykając w poniedziałek wieczorem swój sklep, właściciel p. Goldsztajn zapomniał zabezpieczyć rurę gazową tak iż przez całą noc powietrze w sklepie nasyciło się ulatniającym gazem. Nazajutrz właściciel, uderzony charakterystycznym zapachem, polecił swemu współpracownikowi, ażeby niezwłocznie zamknął przewód. W chwili, gdy ten wstępował na drabinę, rozległ się przeraźliwy wybuch, poczym szyby wystawowe zostały zdruzgotane i wszystek towar w stanie zniszczonym wysypał się na ulicę. Właściciel oblicza swoje szkody na przeszło [illegible] zł.

„Ziemia Lubelska"

Wybrała Anna Orzechowska

KRONIKA KULTURALNA

● Reżyser Roman Wionczek „kręcił" w Lublinie fragmenty swojego filmu „Sekret Enigmy", przedstawiającego losy ludzi, którzy złamali ściśle tajny szyfr hitlerowski. Scenerią był dawny obóz koncentracyjny na Majdanku. Przy okazji informujemy, że we wrześniu na Majdanku zostanie otwarta międzynarodowa wystawa plastyczna „Przeciw wojnie". Tym samym spełni się idea Edwarda Naduiskiego, który już wiele lat przed śmiercią zabiegał o przekształcenie ogólnopolskiej wystawy malarstwa, grafiki i rzeźby w imprezę o zasięgu europejskim.

● Dr Alicja Kurzątkowska, starszy kustosz w Biurze Dokumentacji Zabytków w Lublinie: „zbyt wiele osób ogranicza się do mówienia z troską o zabytkach, a pewnie nie wie, że mogłyby zrobić więcej. Od ub. roku mamy w Lublinie oddział Towarzystwa Opieki nad Zabytkami" — który, dodajmy, jest chyba najaktywniejszy w Polsce. Zarządowi głównemu organizacji prezesuje wiceminister Wiktor Zin, który przebywał niedawno w Lublinie z okazji sesji poświęconej rewaloryzacji Starego Miasta. Podjęto ważne decyzje — z ich treścią zapoznamy w następnym numerze „Kameny".

● 7 października bieżącego roku minie 15 lat od momentu nadania Świdnikowi praw miejskich. Niedawno rozstrzygnięto konkurs na herb miasta. I miejsce i realizację otrzymał Henryk Szulc, znany grafik lubelski, autor wielce eleganckich, abstrakcyjnych litografii, prezentowanych poza krajem, m. in. we Francji i Kanadzie.

● „Każdy z nas, chłopów, ma takie skłonności: pokochać, mieć dzieci, a jednocześnie być mężczyzną niezależnym. Gdyby mu uciąć to i owo, zostawiłby to-to u żony, a resztą piął się do kariery, stawiał filary władzy" — szczerze wyznał dziennikarzowi „Sztandaru Ludu" Mieczysław Herman, malarz, szef pracowni w Instytucie Wychowania Artystycznego UMCS, który w minionym roku miał wystawę indywidualną w Paryżu, a teraz zbiera siły do wystąpienia w USA — co odnotowujemy z satysfakcją. Coraz częściej nasi artyści goszczą w galeriach zagranicznych, nie wykluczone, że trafią kiedyś np. na Biennale Weneckie, gdzie przed wojną wystawiał Antoni Michalak.

● Ryszard Królikowski, dyrektor Muzeum Wsi Lubelskiej, w wywiadzie prasowym: „Chcemy więc m. in. pokazać rozwarstwienie społeczne dawnej wsi, wpływy, jakie na ludność wiejską wywierało miasteczko, dwór czy plebania. Dążymy do jak najbardziej naturalnej prezentacji, nie zaś pocztówkowej..."

● Kto w Polsce ma szczególny sentyment do plastyki? Zamość, konkretnie: dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki tamtejszego UW Jan Wojnowicz. Właśnie trwa ogólnopolski plener malarski w Zwierzyńcu: jest to jedyna w kraju impreza tego typu, organizowana zimą. Ponadto na Zamojszczyźnie urządzane są plenery ASP w Krakowie oraz plenery scenografów, wiążące się z teatralnymi ambicjami miasta, popieranymi przez wybitnych aktorów i reżyserów stołecznych.

● W Wojewódzkim Domu Kultury w Chełmie na przełomie stycznia i lutego czynny był przegląd plastyki amatorskiej i ludowej, w którym brało udział 38 twórców — autorów ponad 200 prac. Miasto konsekwentnie wspomaga ten ruch artystyczny, rozwijający się wyjątkowo żywo i chwalący się ciekawymi rezultatami. Przy okazji zajmujemy stanowisko w innej sprawie: krytycznej oceny plenerów plastycznych przez Teresę Kuczyńską na łamach „Kultury" („Polska szkoła plastykowania" w nr 3 z br.). Obok racjonalnych spostrzeżeń w artykule tym znalazło się sporo demagogii i uwag mijających się ze stanem faktycznym. Autorka wyszydziła pomysł ozdobienia Chełma formami rzeźbiarskimi z cementu, zapominając wszakże dodać, iż dzieła te będą kolorowe. Właśnie tym dodatkiem oddalą się one od swej cementowej natury. Do sprawy powrócimy.

● Nagrody kulturalne Puław otrzymali: teatr amatorski działający przy tamtejszym PDK oraz Władysław Klepka — formalnie rzecz biorąc, też amator, ale faktycznie dojrzały grafik i malarz, autor ciekawego plakatu na „Dni Puław" i kolorowych, lirycznych rysunków.

ekran i widz

Perypetie kochanków pop-music

DZISIAJ technika filmowa zaszła tak daleko, a wiedza o kinie tak szerokie zatacza kręgi, że dajcie amatorowi dobrą kamerę, czułą taśmę oraz mniej więcej logiczny scenariusz, a z pomocą doświadczonych aktorów i zręcznego montażysty zrobi on całkiem możliwy do oglądania film. Związana jest z tym wszystkim również odwrotna strona medalu: coraz trudniej, wychowanemu na dobrych filmach widzowi proponować, nawet efektownie opakowaną, tandetę. Nic więc dziwnego, że — wbrew nadziejom dystrybutorów — taki na przykład szwedzko-australijski film „Abba" wcale nie stał się u nas kasowym sukcesem, chociaż reprezentował modny wśród młodzieży gatunek „disco" i dotyczył tak bardzo jeszcze do niedawna popularnego muzyczno-wokalnego zespołu, którego przebój „Waterloo" stał się na długo światowym „hitem". Tak samo pewnie będzie z amerykańskimi „Narodzinami gwiazdy" Franka Piersona — z piosenkarką Barbrą Streisand oraz słynnym Krisem Kristoffersonem w rolach głównych — filmem, który właśnie ostatnio wszedł na nasze ekrany. „Abbę" i „Narodziny gwiazdy", choć odwołują się one do różnych filmowych konwencji stylistycznych i sięgają do różnych odmian pop-music, łączy jedno: obydwa są filmami słabymi i w gruncie rzeczy nudnymi, mimo że prezentują szereg skądinąd efektownych i lubianych przebojów. W dodatku nie są one u nas wsparte „zapleczem" w postaci rzuconych równocześnie na rynek płyt i kaset z nagraniami przebojów. A z drugiej strony nie ma u nas setek tysięcy mniej lub więcej rozentuzjazmowanych i rozhisteryzowanych kilkunastoletnich „fanów", będących głównymi odbiorcami takich właśnie filmów jak „Abba" czy „Gorączka sobotniej nocy" Johna Badhama z głośnym Johnem Travoltą.

Kiedy Richard Lester postanowił nakręcić film muzyczny o słynnej wówczas „Czwórce z Liverpoolu", której twórczość miała się odbić tak szerokim echem wśród współczesnej młodzieży, a która już wtedy kazała socjologom zwrócić baczną uwagę na ów fenomen popularności, rozejrzał się przede wszystkim za odpowiednią formułą, jaka pozwoliłaby mu pokazać na ekranie coś więcej niż tylko przegląd piosenek Johna Lennona, Paula McCartneya i jego kolegów. „The Beatles" otrzymał ostatecznie kształt bardzo specyficznej komedii muzycznej z mocnym akcentem na socjologiczną i psychologiczną obserwację zjawiska jakim byli Beatlesi. I w tym właśnie tkwiła jedna z wielkich zalet tego filmu. „The Beatles" posiadał swoją własną, niezależną od sławnego zespołu, osobowość artystyczną, był na swój sposób filmem ambitnym i odkrywczym.

„Abba", nakręcona przez młodego szwedzkiego reżysera Lasse Hallströma w znacznej mierze podczas tournee zespołu po Australii, mogłaby być filmem interesującym już choćby przez pokazanie samego tylko zderzenia dwóch kultur, dwóch światów, różnych sposobów reagowania Europejczyków i Australijczyków na te same piosenki. Niestety „Abba" stała się po prostu kolejną, dwugodzinną „reklamówką" znanego zespołu. Doskonała kamera, niezwykle czuła taśma i zręczność samego operatora oraz montażysty, dają film efektowny pod względem plastycznym; to znaczy mamy tu szereg doskonale fotografowanych scen z występów grupy „Abba" na efektownych stadionach miast australijskich. Bez wątpienia atrakcyjna jest również eksponowana wciąż na ekranie i w komentarzu słownym „pupa" Agnethy Fältskog, ale to wszystko, połączone prymitywną historyjką o młodym dziennikarzu radiowym podążającym za zespołem w nadziei uzyskania wywiadu, nie wystarcza na zrobienie interesującego filmu. Jedyna ciekawa obserwacja — kręcone „na żywo" sceny z ledwie odrosłymi od ziemi maluchami rozprawiającymi z całą powagą na temat „seksowności" poszczególnych członków zespołu — została szybko zagubiona w nawale miałkich „wywiadów" i „rozmów" niefortunnego filmowego dziennikarza i radiowca z tzw. zwykłymi przechodniami ulicznymi. Taki film jak „Abba" może by się dobrze sprawdził wyświetlany po kawałku w dyskotekach, ale na ekranie kinowym nudzi i nuży.

Nikt nie odmawia piosenkarskiego talentu Barbrze Streisand, co więcej, jest ona utalentowaną aktorką; ma swoich zwolenników talent Krisa Kristoffersona, ale dlaczego zaraz aplikować widowni tych dwoje w mdłej, ciągnącej się jak guma, do tuzin fabule utkanej efektownymi, to prawda, popisami wokalnymi? Dwie godziny obcowania na ekranie z kochankami pop-music przeżywającymi miłosno-frustracyjno-alienacyjne perypetie, tak jak to pokazał reżyser Frank Pierson, to stanowczo za dużo jak na wytrzymałość nawet nieprzeciętnego miłośnika piosenki. Reklamuje się owa „głośną hollywoodzką produkcję firmowaną przez (...) Barbrę Streisand" jako „dzieje burzliwej miłości i małżeństwa wybijającej się piosenkarki i gwiazdora rocka". Zgoda. Temat nawet całkiem niezły, choć w sztuce stary jak świat: gdy jeden artysta — wznosi się na wyżyny sławy, w tym samym czasie jego współmałżonek przeżywa głęboki kryzys artystyczny. Tylko dlaczego pokazywać to w sposób tak strasznie banalny, oklepany i schematyczny? Jedna jedyna sekwencja tego filmu, z wielkim nerwem pokazująca występ rockowego idola dla pięćdziesięciu tysięcy zgromadzonych na gigantycznym stadionie „fanów", nie zrekompensuje późniejszej nudy „burzliwej miłości".

Pal sześć „Abbę", przeżyliśmy szwedzki potop, a w końcu zresztą lubimy zespół występujący pod tym imieniem. Ale niech mi ktoś odpowie, po co sprowadzamy filmy trzeciorzędne, w rodzaju „Narodzin gwiazdy"? I można się tylko pocieszać, że wchodzący w lutym na ekrany także muzyczny „New York, New York" Martina Scorsese'a z Lisą Minelli i Robertem de Niro nie zawiedzie naszych oczekiwań.

M. D.

Listy do kameny

KIEDY CZYTAĆ?

Minister Oświaty i Wychowania, Jerzy Kuberski, zastanawiał się niedawno na łamach „Kultury", jak rozszerzyć kontakty nauczycieli z wartościami kultury, a dziennikarz, przeprowadzający wywiad z kierownikiem resortu, wtrącił, że może by zwolnić pedagogów z takich obowiązków, jak czuwanie nad zbiórką makulatury, gromadzenie oszczędności przez uczniów, dowożenie mleka do szkół, jak organizowanie rozlicznych capstrzyków, akademii etc. Programy nauczania są bowiem tak rozbudowane, że wszelkie dodatkowe czynności, którymi pieczołowicie obkłada się nauczycieli, praktycznie likwidują do zera czas wolny tych ludzi, który mogliby ewentualnie przeznaczyć na udział w życiu kulturalnym. Niemal równocześnie jedna z gazet lubelskich poinformowała ze smutkiem, że ze specjalnego kiermaszu przygotowanego przez Dom Książki z okazji narady nauczycieli lubelskich w sprawie kultury pedagogicznej zniknęły szybko tylko kalendarzyki kieszonkowe, natomiast do książek nikt się jakoś nie kwapił, choć były to wydawnictwa poszukiwane przez czytelników. Więc zgroza, nauczyciele nie interesują się literaturą i innymi publikacjami z zakresu humanistyki!

Najłatwiej skomentować ten przypadek ironicznie — o ile nie weźmie się pod uwagę prostej prawdy — że: 1) książki nie są dziś zbyt tanie, a nikt nie chodzi na narady z pełnym portfelem, 2) jeśli już ktoś kupuje takie wartości, to z zamiarem ich skonsumowania. Tymczasem, pytam, kiedy nauczyciele mają czas na lekturę? Jestem polonistą i wychowawcą klasy w szkole podstawowej, prowadzę kółko recytatorskie, od czasu do czasu biorę udział w przygotowywaniu akademii, no i niemal codziennie poprawiam minimum kilkanaście zeszytów uczniowskich. Kiedy więc późnym popołudniem wracam do domu, gdzie też trzeba coś zrobić, mam już tylko ochotę na telewizję i łóżko.

Z książkami, z ich pozyskaniem, wiąże się jeszcze jeden problem, który co pewien czas muszę rozgryzać. Chodzi o zakupy wydawnictw dla biblioteki szkolnej. Dla księgarzy jesteśmy w końcu zwykłymi klientami, nasze placówki nie mają żadnych priorytetów przy kupnie książek i w rezultacie zasoby biblioteczne zależą od osobistych układów nauczyciele z kierownikiem księgarni. W praktyce jesteśmy w sytuacji ludzi chodzących po prośbie.

J. R.

(nazwisko i adres znane redakcji)

WASHINGTON — LOKOMOTYWA?

Amerykański koszykarz zdobywa punkty dla lubelskiego „Startu", dzięki niemu drużyna nasza bije mistrza Polski na jego własnym boisku — przyszłość zapowiada się nieźle. Mam więc pytanie: czy nie można by zatrudnić w sporcie lubelskim kilku innych K. Washingtonów? Na przykład w lekkiej atletyce, w piłce nożnej, w boksie, siatkówce, gimnastyce, a więc w tych wszystkich dyscyplinach, gdzie od lat nie możemy dorobić się klasowych zawodników i zespołów. To zdumiewające, jak mało Lublin liczy się w sporcie wyczynowym kraju, mimo że jest sporym miastem, posiadającym duże i zamożne zakłady przemysłowe. Zresztą i ze sportem niekwalifikowanym też jest kiepsko — bo po prostu nie ma boisk otwartych dla wszystkich, ale również i tradycji [illegible] biegania dla przyjemności i zdrowia. Inna sprawa, że lublinianie biegają sporo: za taksówkami, autobusami itp.

Andrzej Pusty
Lublin

ZŁOTODAJNE AUTOMATY

Zanosi się na to, że z Lubelskiego Domu Kultury zostaną ostatecznie wypro-

PKS: z tobą dole i niedole

Dokończenie ze str. 2

Migają światła z naprzeciwka, jedzie pług, za nim milicyjny gazik. Machamy rękami, krzyczymy, gazik staje, wychyla się czerwona od mrozu i wiatru twarz milicjanta, oczy przekrwione, życzliwe. „Nie radzimy się ruszać, zaspy na całej trasie". Tłumaczymy, że dzieci, że może by mogli pomóc, obiecują i jadą dalej, ale w kierunku przeciwnym do naszego. W autobusie nastrój grozy. Kobieta wymachuje rękami krzyczy: „No i co dalej, co z nami będzie, do rana tu stać przyjdzie". Kierowca, nie tracąc spokoju, tłumaczy: „Ciepło pani ma, jak będzie pani głodna, to jeszcze żoninych kanapek trochę mi zostało, a w ogóle proszę nie krzyczeć, nie panikować, ja pod Hrubieszowem trzy dni stałem i nic, żyję". Baba milknie. Dzieciom się sytuacja nawet podoba, nawiązują kontakty towarzyskie, o nich się martwią rodzice.

Meldujemy kierowcy, że prześwit pod wozem jest, teraz pchamy. Z przodu, z tyłu, z boku, autobus ani drgnie.

Nagle kierowca włącza bieg, autobus rusza — jedziemy. Do Ożarowa dojeżdżamy około północy. Tu trasa powinna być lepsza, szosa główna od Kielc. Nic z tych rzeczy, żadnej różnicy, pięć minut po północy w komunikacie dla kierowców słyszymy, ile to pługów wirnikowych i lemieszowych wyjechało na drogi, ilu pracowników rejonów dróg publicznych walczy z zawiejami na drogach całego kraju. Myśmy widzieli przez całą drogę od Krakowa, bo tam dopiero się zaczął kataklizm, kilka pługów, ani jednego człowieka, szosa cały czas śliska, z nawiewanym śniegiem, kryjącym dziury, nigdzie żadnej ingerencji człowieka, samochody w rowach. Jak nam tłumaczył kierowca naszego wozu, stały tak od pierwszych dni stycznia...

Dyżurny ruchu PKS w Kraśniku jest bardzo zdumiony, gdy widzi nasz autobus; już późna pora, a może wczesna (druga nad ranem), żaden autobus z tamtej strony, od południa, nie nadjechał.

Teraz dopiero możemy w pełni docenić walory naszego kierowcy. Małomówny może to on nie jest, dowcipu też nie ma najlepszego, ale wóz prowadzi pewnie, spokojnie, z tym spokojem starego rzemieślnika, który musi prowadzić do celu.

Jeszcze w Strzeszkowicach godzinka zadymki, mokry śnieg wciska się wszędzie, do nosa, oczu, gardła, uszu. Przenikliwy wiatr zmiata z nóg, kilkakrotnie wszyscy pasażerowie muszą opuszczać autobus, by odciążyć, by lżejszy o te kilkaset kilogramów mógł się podnieść o parę centymetrów, by go ruszyć z miejsca.

W Konopnicy na przejeździe dróżnik nie pomyślał, aby odgarnąć śnieg, zabrakło wyobraźni, znów stoimy, tu już klniemy, bo do domów 9 km, tak blisko, a jednocześnie tak strasznie daleko, już by się na piechotę poszło, ale jak z takim majdanem, dziecko, walizki, torby. Przed przejazdem samochód z przyczepą, ani drgnie, kierowca — młody, wystraszony, nie ruszy, twierdzi, że go zarzuci na torach. Ustawiamy autobus, ręcznie, tu jakby sił przybyło, przesuwamy się o centymetry obok przyczepy, odetchnęliśmy — już nas chyba nic złego nie spotka. O godzinie czwartej rano autobus z gronem ludzi, na początku zupełnie sobie obcych, a potem jakże bliskich, wspólnotą osaczenia przez jedną z sytuacji ostatecznych, sytuacji skazania się na żywioł i na walkę z nim, dociera do Lublina. Tym razem myśmy byli górą...

Aleksander Rozenfeld

PS. I. Moja żona o godzinie 19.30 informowała się w PKS w Lublinie, co się dzieje z naszym autobusem, informatorka, jak zwykle „dobrze" poinformowana, odrzekła, że stoimy pod Lublinem.

PS. II. Dyżurny ruchu w Sandomierzu na dworcu PKS poinformował kierowcę naszego autobusu, że droga Sandomierz — Ożarów jest przejezdna, odcinek ten wynoszący 25 kilometrów pokonaliśmy w czasie czterech godzin. A mógł nas skierować inną drogą!

wadzone automaty do gier hazardowych. Ale czy dojdzie do tego faktycznie trudno powiedzieć, bo już ożywiają się obrońcy tutomatycznego zarabiania pieniędzy, którzy bronią sprawy argumentami wyższego rzędu. Po co likwidować te pożyteczne urządzenia — pytają — skoro państwo na nich zarabia, a i 56 tysięcy miesięcznie wpada do skromnej kasy samego domu kultury. Krótko mówiąc: forsa nie śmierdzi, byle była. Mam odmienne zdanie na ten temat i mógłbym je namacalnie uzasadnić np. pustymi półlitrówkami, które tu i ówdzie pozostawiają w pomieszczeniach przybytku kultury amatorzy mechanicznego hazardu, wśród których często pojawiają się oblicza raczej zakazane pasujące do charakteru całej instytucji przy ul. Pstrowskiego, jak nieść do roka. Dalsze tolerowanie hazardu w domu kultury to poza tym zaprzeczenie głównego celu działalności tej placówki.

Stanisław Czyż
Lublin

SKANSEN NA ZAMOJSZCZYŹNIE

Dowiedziałam się, że w województwie zamojskim ma powstać skansen budownictwa ludowego, a ponieważ pochodzę z tamtych terenów, chciałabym zapytać, w jakiej konkretnie miejscowości on będzie?

Maria Wiśniowska
Poznań

Od redakcji: Skansen w Zamojskiem powstanie na pewno. Albo w Zwierzyńcu, albo w Krasnobrodzie. Ostateczna decyzja w tej sprawie zostanie podjęta w najbliższym czasie.

„NOTATNIK MUZYCZNY"

Szanowny Panie Redaktorze

Zawsze z uwagą czytam „Notatnik muzyczny". Co prawda wielkie opóźnienie powoduje, że często nie jesteśmy w stanie przypomnieć sobie, co miało miejsce półtora miesiąca temu, ale nie to jest najistotniejsze. Gorzej jest, gdy pisze się o utworze, który nie został w ogóle wykonany. Mam tu na myśli koncerty 24, 25 i 26 listopada 78 r., na których to, zdaniem Pana Stefana Muncha została wykonana Missa brevis B-dur KV 272 W. A. Mozarta. W rzeczywistości wykonano Mszę C-dur KV 220, zwaną „wróblą mszą". Wprawdzie do programu wkradł się drobny błąd, w postaci innego numeru KV, ale można go było z łatwością skorygować, czytając omówienie Jerzego Jaroszewicza. [...]

Zastanawia mnie fakt, gdzie Pan Münch w prościutkim, typowo homofonicznym utworze Mozarta usłyszał „polifoniczny żywioł" i „wyeksponowanie chromatyki", bo ani polifonii, ani chromatyki w tym utworze w ogóle nie ma.

Nawet mało wyrobiony słuchacz mógł zauważyć, że w tej kompozycji Mozart dążył do maksymalnej prostoty a jedynym efektem są ozdobniki skrzypiec (w części Sanctus), imitujące ćwierkanie wróbla (stąd nazwa mszy). [...]

Jednym z wykonawców listopadowych koncertów był chór PSM I i II stopnia im. T. Szeligowskiego przygotowany przez niżej podpisaną.

Jest rzeczą wysoce niewskazaną, by czytelnicy, w tym młodzież szkół muzycznych, doskonale orientująca się w zagadnieniach repertuarowych i wykonawczych nabierała wątpliwości do wartości wypowiedzi prasowych.

Wydaje mi się, że z wielu atrybutów recenzenta pierwszoplanowym powinna być odpowiednia znajomość i rozumienie literatury muzycznej. [...]

mgr Danuta Wysok
dyrygent chóru
PSM I i II st.

* * *

List p. Danuty Wysok wprawił mnie w niemałe zawstydzenie, ale pobudził także i odruch sprzeciwu. Istotnie pomyliłem tonację i numer wg Kochla owej nieszczęsnej Missa brevis, lecz pisząc recenzję miałem na myśli właściwą kompozycję. I na tym mógłbym zakończyć, gdyby nie to, że wytoczone przeciwko mnie zarzuty, pośród których jest nierozumienie literatury muzycznej (wynikające zapewne z faktu, że nie jestem profesjonalista i nie współpracuję z żadną instytucją muzyczną Lublina), wymagają jednak kilku słów komentarza. Znam kilka osób, które nie mając wykształcenia muzycznego pisują recenzje i to z dobrym skutkiem (przykłady choćby w „Ruchu Muzycznym"). Jak wynika z listu, p. Wysok nie odmawia mi w zasadzie kwalifikacji do oceniania poziomu wykonawstwa, nie zgadza się natomiast z uwagą o chromatyce i polifonii.

Istotnie, w roku 1775 Mozart niezbyt chętnie odwoływał się do stylu polifonicznego, który wtedy uchodziły za staromodny. Wiedział jednakże o tym, że kompozytor kościelnej muzyki styl ten znać musi — wobec czego ćwiczył się pod kierunkiem Padre Martiniego i pilnie studiował wzory (Eberlin, M. Haydn). W latach 1770-1777 Mozart komponuje utwory kościelne, o których Wyzewa i Saint-Foix powiadają, że ich styl jest nasycony chromatyką; co więcej, pewne części czy odcinki mszy należało tradycyjnie realizować „polifonicznie" — na przykład „Et vitam venturi" czy „Dona". Jakkolwiek faktura Missa brevis C-dur rzeczywiście jest skromna i zbliża się do homofonii, to elementy polifoniczne ex definitione też się w niej znajdują.

Tropiąc błędy i nieporozumienia (ku pożytkowi młodzieży, jak pisze p. Wysok) chciałbym przypomnieć mojej polemistce, że nazwa „wróbla msza" pochodzi oczywiście od akompaniamentowej figury skrzypiec w Credo, a nie w Sanctus...

Stefan Münch

Starsze pokolenie pamięta urodzone w 1934 r. pięcioraczki kanadyjskie? Tylko trójka spośród nich żyje dzisiaj. O ich zawikłanych losach czytaj w następnym numerze „Kameny".

KRZYŻÓWKA (nr 4)

Poziomo: 3. pułapka, sytuacja bez wyjścia 5. u Brezy „spiżowa" 8. rzeka w Rumunii z przełomem Czerwonej Wieży, 11. wybitny malarz polskiego realizmu, 12. współczesny pisarz polski, którego wiersze publikowała niedawno „Kamena", 13. opera Bellinego, 14. retoryczny zwrot do osoby, pojęcia lub przedmiotu, 17. odnoga delty Wisły, 19. boisko tenisowe, 20. arabski władca, 21. umocnienie obronne, 22. skroplona para, 24. zieleń na pustyni, 26. wiersz żałobny, 27. litera dla drugiej niewiadomej, 28. Schiller stworzył z piosenkami, 29. stał w nim wojak na warcie, 31. krzak z orzechami, 33. radzieckie letnisko nad Morzem Czarnym, 34. złe przyzwyczajenie, 35. towarzysz Robinsona, 36. zbiornik wodny, 37. kawałek czasu, 38. wielki uczeń Sokratesa.

Pionowo: 1. pisarz amerykański, laureat Nagrody Nobla, 2. pisarz niemiecki, autor zbeletryzowanych biografii Napoleona, Bismarcka i in., 3. wielki posiadacz ziemski, 4. poeta i historyk polskiego Oświecenia, 6. resztki starej budowli, 7. przeciętność lub nawet poniżej tej, 9. stolica skandynawska, 10. gra w nim Ken Washington 15. osiągnął najlepszy wynik w swojej dziedzinie, 16. przekrojowy pies, 18. ogłoszenie stanu gotowości bojowej, 19. zwierze hodowlane, 20. zimowy pojazd, 23. blazen Zygmunta Starego, 25. tragiczna córka Edypa, 28. broń Ivanhoe, 29. taniec operetek, 30. w tornistrze szeregowca, 31. wieś „Chłopów" Reymonta, 32. najwolniejszy krok konia.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

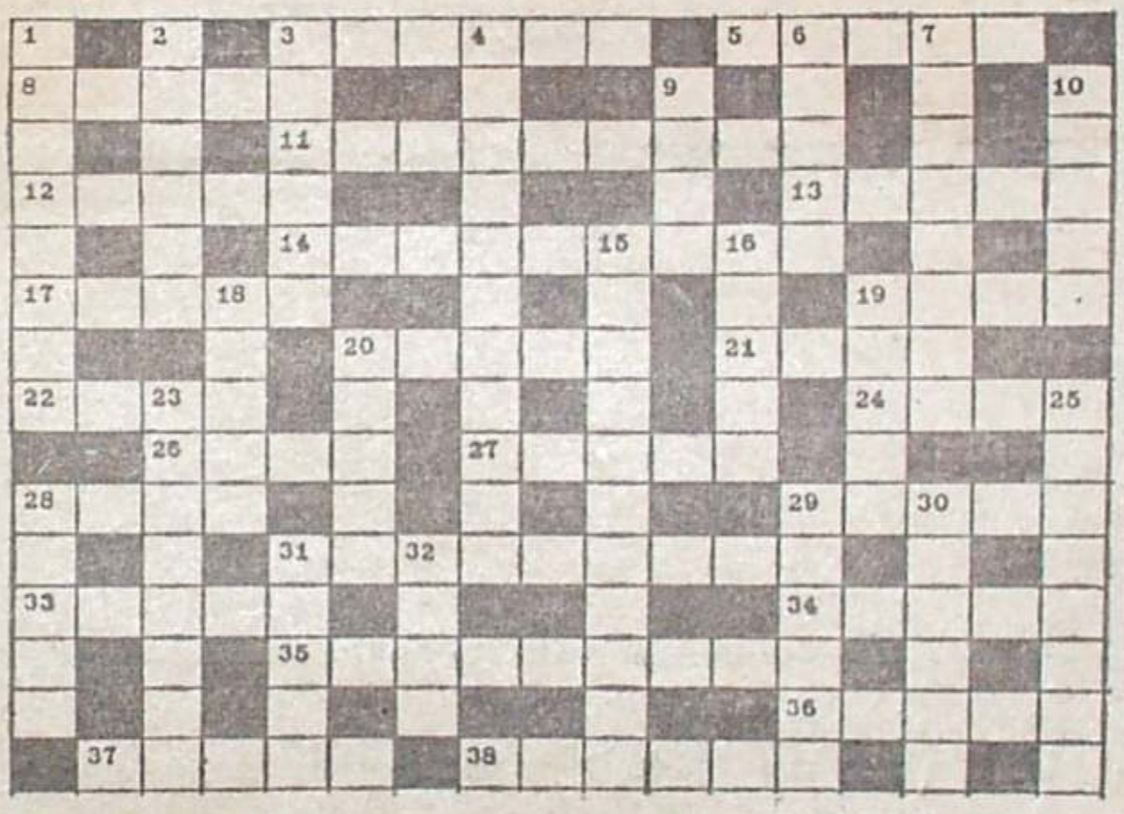

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI z nr 2

POZIOMO: Przyborowski, Rzym, era, melba, rejs, klin, Izbica, Niekrasow, metr, Narie, skwar, emir, Miłkowski, Elwira, luka, Leon, otawa, lew, szef, Emancypantki.

PIONOWO: Drzewiecki, obraz, Krasicki, gwarant, Pieszkow, kram, Ryki, biernik, las, adresat, Otwinowski, rewolwer, Krawczyk, Pieniny, łuk, Roman, uszy, alfa.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 2 bony książkowe po 40 zł za każdy wylosowali: Sławomir Galerek 20-610 Lublin, Leszka Czarnego 5/13, Hanna Mazur 20-612 Lublin, Lasockiego 39, Włodzimierz Boruch 20-113 Lublin, Trybunalska 14/4, Tadeusz Jarząbski 15-258 Białystok, Szenwalda 26.

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich
Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Beduczyc-Rudnicka, Tadeusz Gwardak (z-ca red. naczelnego), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (sekretarz redakcji) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Bronisław Kowalski, Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:
— do 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.
Cena prenumeraty rocznej — 75,—
Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH".
Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni, zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki, piątki w godz. 14—15.
Wydawca RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 133.

Numer łamał Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kurędy

Nr indeksu 36231

Adres redakcji 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93, z-ca red. nacz. 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

POCZTA literacka

J. J. Krosno. Chciałbym wydrukować Pana wiersz i wiem jakie to ma znaczenie dla młodego autora, ale wpierw poprosiłbym o wyjaśnienie co mam rozumieć pod słowami: „Skulony wobec infantylizmu, który wypadł niepostrzeżenie z ust granitu i stali słowa". Granit ma jakieś usta? I z tych ust wypada infantylizm? Przypomina mi się żydowska zagadka o śledziu, który wisi na drzewie, jest zielony i śpiewa. No bo zawiesić śledzia na drzewie można, pomalować na zielono też, a „śpiewa", to już żeby było trudniej zgadnąć. W ten sposób „wyjaśnić" da się każdy anakolut.

D. G. Bełżyce. „Piszę wiersze od niedawna" itd. A ja bym dyskretnie zapytał: co pragnąc wyrazić? Bo nie widzę żadnego poetyckiego zamiaru w tej czynności. Pan nie chce mówić. Pan chce szeregować słowa, które może same od siebie coś powiedzą. Tymczasem poezja to naprawdę nie loteryjka. „Podmuch ust zefirowych wydyma zwiewnym słońcem żagle" — o co chodzi? Wiersz to nie słowo pierwsze lepsze, byle inne, byle odciągnięte od „konwencjonalnego" sensu. To przekaz rzeczywistego doznania. A tego tu nie widać.

S. T. Tomaszów Lubelski. Pisze Pani o synu, który od niedawna wykazuje zastanawiające zdolności poetyckie i stał się już autorem kilkudziesięciu wierszy życzliwie przyjętych przez znajomych. A czy Pani nie podejrzewa, że w tej opinii jest więcej konwenansu aniżeli trafnej oceny literackiej? Zaręczam Pani, że w podobnych sprawach zarówno znajomi, jak i członkowie rodziny kłamią. Dla świętego spokoju. Nie zdają sobie sprawy, że w ten sposób wytwarzają niepokój u młodego autora. Bo podrzucają mu nadzieje, które nie mogą być spełnione. I rozgoryczenie. Bo spotyka się z tym, że mu w redakcji odmawiają, podczas gdy środowiskowe autorytety wypowiedziały się pozytywnie. Proszę Pani, przeczytałem te wiersze. Nie powiem, że przekreślają wszelką możliwość w przyszłości, ale obecnie musimy czekać. Na wyklarowanie się wyraźnych zainteresowań, sposobów patrzenia, uwrażliwień młodego człowieka. Na razie to wszystko jest w powijakach.

S. B. Radomsko. Postępuje Pan jak malarz, który pewne partie swojego obrazu dał do wykonania malarzowi ściennemu. Niby intryga pomyślana zręcznie, niby problem nie błahy, ale równocześnie moc powiedzonek codziennym użyciem tak zbanalizowanych, że aż dziw bierze, jak mogły się znaleźć w tekście z zamierzenia literackim. W dodatku — powtarzam — u autora nie pozbawionego orientacji co do charakteru tego rodzaju zajęcia. Więc na lekturę dalszych Pana tekstów owszem reflektuję, ale pod warunkiem, że sam Pan przestanie sobie szkodzić i przepędzi te wszystkie „kąty oczu", „rażne zakrzątnięcia się wokół płyty kuchennej", które uchodzą za literackość u czytelników niedzielnych.

A. W. Lublin. Tak, ale za dużo w tym wszystkim słowa. Słowa — elephantiasis, słowa — monstrum. Pan postępuje tak, jakby zjawisko w wierszu opisywane było tym, na które każdy z nas może się natknąć raz w życiu, więc nie jest ważne, w jaki sposób jest wyrażone. Zawieszeniu ulegają wszelkie nakazy ścisłości, zwartości, kondensacji, pozostaje zachwyt nad niezwykłym ewenementem, a temu zachwytowi wolno hasać i tańczyć po mowie polskiej, bo właśnie został nawiedzony. Ani nie opisuje Pan ocalenia przed potopem, ani tak przekazywany (a podejrzewam, że tylko „robiony") entuzjazm czytelnikowi się nie udziela, więc proponowałbym co nieco „przydeptać gardziel swojej pieśni" (Majakowski). Z pewnością wyjdzie na dobre. W poezji autor jeśli nawet oszuka siebie, nie oszuka swojego odbiorcy.

F. K. Kielce. Oczywiście, że na temat światopoglądu w tych wierszach zawartego dałoby się niejedno powiedzieć, ale ważne jest przede wszystkim jak ów światopogląd realizuje się w słowie. To jest dla poety najważniejsze. Wszystko inne przychodzi „samo", jest konieczne jako materiał i osnowa twórczości, ale wnosi inne dyspozycje, reagowania na świat aniżeli poetyckie. No, można kochać przyrodę, ale nie umieć na ten temat napisać wiersza. Wyrażać ciekawe spostrzeżenia o człowieku, ale nie ubrać tego w szatę stylistycznie zręczną. Dlatego nie popierałbym utworów „szlachetnością" treści, lecz dbał o to, by się broniły wartością literacką. Jest to warunek nie wystarczający, ale pierwszy, prekluzyjny.

Z. G. Łódź. Przyjemnie się czyta te teksty. Zawierają wiele trafnych obserwacji dotyczących naszego życia społecznego, rodzinnego, towarzyskiego. Jest też pewien humorek, który stanowi dodatkową atrakcję w lekturze. Natomiast brak uzasadnień filozoficznych i to potraktowałbym jako mankament tych utworów. Mimo wszystko czytelnik pragnie znać stanowisko autora w kwestiach przez niego poruszanych. Samym dowcipem, samą zręcznością stylistyczną wykręcić się nie da.

czyt. 2552/1979/4

NOS

Marian Karczmarczyk

DROBNYM ŚRUTEM

Czasem wmurowanie kamienia węgielnego jest początkiem szyfiowych prac.

●

Niejeden czerpie z życia tematy, którymi później zatruwa innym życie.

●

Jego zainteresowanie bliźnim wynika z tego że szuka w nim czegoś czym można by go uderzyć.

●

Ma swoje poglądy Ale nigdy ich nie wymienia, by nie zauważono jakie one są.

Rys. A. Stok

Rys. Konrad Kozłowski

Janusz Gaudyn

AFORYZMY

Jedni kochają do utraty zmysłów, inni dopiero po ich utracie.

●

Nagość rajskiej Ewy była najtańszym krzykiem mody.

●

W małżeństwie jak w sklepie. Musi być pan kierownik.

●

Kto nie ma żony, widocznie sobie na nią nie zasłużył.

Bogusław Wieczorek

FRASZKI

DWIE TWARZE

Ani razu go w życiu nie spotkał los srogi:
ma dwie twarze i kuty jest na cztery nogi.

IMPREZA

Na imprezę już wszystkie sprzedano bilety.
Cała sala nabita W butelkę niestety.

POD ADRESEM PRALNI CHEMICZNEJ

Pod adresem pralni krótkie mam życzenie:
żeby czyściła nie tylko kieszenie.

MUZYK

Wieczorem, czy rano —
gra zawsze pi(j)ano.

WIELKOŚĆ

Każdy karzeł
wielki w barze.

KSIĄŻKI ZE STRYCHU ● KSIĄŻKI ZE STRYCHU ●

Z Wersalu do klasztoru

T. Straszewski

Nie ufając jednakże swym zdolnościom, wybrała ona, za wyrazicielą swych myśli i uczuć nadwornego poetę Benserade'a.

I w tym był jeden szczegół zabawny.

Benserade bowiem podkochiwał się od dawna w Luizie, o czym ta nie wiedziała. Gdy wezwała go ona do siebie, biedny poeta był uszczęśliwiony, myśląc, że podziela jego uczucia. Jakież jednak wielkie było jego rozczarowanie, kiedy Luiza oświadczyła mu, że chodzi jej tylko o napisanie listu miłosnego do kogoś innego.

Poczciwy poeta prośbie jednak nie odmówił i napisał piękny zapewne i romantyczny list, nie wiedząc naturalnie, do kogo był skierowany.

Jeszcze większe było jego zdziwienie, gdy na drugi dzień król go znów zawezwał i kazał mu przygotować odpowiedź na list, który Benserade wczoraj sam w imieniu Luizy ułożył.

Król bowiem także — aczkolwiek doświadczony we wszystkich sprawach miłosnych — nie był wcale biegły w układaniu „billets doux" i skarżył się nawet, że los, stworzywszy go do panowania, uczynił go najmniej poetycznym człowiekiem w całym jego królestwie.

Od tego czasu poeta, chcąc nie chcąc, zrezygnował ze swej miłości, był stałym sekretarzem obojga kochanków i sam na swe własne listy odpowiadał.

Niełatwo jednak było królowi widywać się z Luizą. Szpiegowały go trzy kobiety: matka, żona i zdradzona kochanka.

Ludwik jednak pokonywał wszystkie trudności i zdawać się nawet mogło, że te przeszkody podniecały go jeszcze więcej.

Podobno często nocą wchodził do pokoju panny de la Vallière... po drabinie.

Miłość ich jednak ciągle była platoniczna i biedny król zmuszony wkradać się jak złodziej, mógł kraść tylko... pocałunki swej opornej kochance.

Inna jeszcze okoliczność martwiła króla: lubił on swe przyjaciółki zasypywać kosztownymi podarunkami i był przyzwyczajony, że przyjmowały je z wielką radością i wdzięcznością. U Luizy i w tym wypadku trafił na niezwalczony opór.

Postanowił wreszcie użyć podstępu, by zmusić ją do przyjęcia od niego podarku bez względu na to, że odsłoni przez to ich stosunek ukryty dotychczas przed oczami dworu, a może właśnie i dlatego, gdyż to ciągłe ukrywanie się, które z początku bawiło go, w końcu zaczęło go męczyć.

Podczas jednej z licznych loterii, urządzonych na dworze, pokierował sprawą tak, że wygrał piękne i kosztowne bransolety ze szmaragdami, które w celu obdarzenia nimi Luizy, u własnego jubilera René Cardillac'a zamówił. Gdy z tą wygraną przyszedł do pokoju królowej, gdzie między zebranymi damami znajdowała się i Luiza, wszyscy byli pewni, że ofiaruje je małżonce tym bardziej, że ta ostatnia obdarzyła go niedawno następcą tronu.

Jakież jednak było zdumienie i oburzenie dworu, gdy król podał je Luizie. Ona, sądząc także, iż bransolety te były przeznaczone dla królowej, chciała po obejrzeniu ze słowami pochwały zwrócić je królowi. Ten powstrzymał ją jednak mówiąc:

— W tak pięknych i odpowiednich znajdują się rękach, że nie mogą do mnie powrócić.

Od tego czasu król już jawniej zaczął składać swe hołdy Luizie ku wielkiemu jej przerażeniu, a ku bezsilnej wściekłości większej części dam innych.

Zaczął się wtedy na dworze cały szereg uroczystości, balów, przedstawień, urządzanych z prawdziwie królewskim przepychem, rzekomo na cześć królowej, w gruncie rzeczy jednak dla nowej choć całkiem tego nie pragnącej kochanki. W r. 1662 urządził król olbrzymich rozmiarów karuzel z wielkim nakładem kosztów, a plac, na którym stał, otrzymał stąd nazwę „placu karuzeli".

Prędko też zorientowali się wszyscy, że to nie przelotna sympatia króla, lecz skłonność poważniejsza.

Na dworze, zawrzało jak w ulu!

Straszliwa burza rozpętała się nad głową biednej Luizy. Zazdrość sprawiła, że tak dotychczas lubiana dzięki słodyczy swego obejścia Luiza uczuła się otoczona samymi wrogami. Królowa przejrzała także; cierpiała jednak w milczeniu, nie skarżąc się i nie robiąc wymówek swemu niewiernemu małżonkowi. Rzekła tylko raz do jednej ze swych dam dworu, wskazując na Luizę: „Oto kobieta, którą król kocha".

Inne damy choć mniejsze prawa miały do serca króla, były bardziej jeszcze oburzone.

Zdradzona Henrietta, z której zaczęto drwić po cichu, lecz niemiłosiernie, że sama przyłożyła rękę do zdrady kochanka, zapałała zemstą. Olimpia Soissons, która dotychczas rościła sobie pretensje do miłości króla, nie pozostawała też obojętna.

Uknuto nawet spisek na naszą biedną bohaterkę, do którego naturalnie w pierwszym rzędzie należały dwie dawniejsze, porzucone przez króla kochanki.

Potężna też nieprzyjaciółka Luizy stała się, oddana bardzo królowej, pani Navaille.

Anna Austriaczka wmieszała się również w tę sprawę i kochając swe synowa, srogie robiła królowi wymówki. Jedenie królowa, aczkolwiek boleśnie dotknięta, trzymała się dość na uboczu od planów zagłady panny de la Vallière.

Wszystko to było ponad siły Luizy!

Dręczące ją i tak już wyrzuty sumienia, łagodzone nieco czułymi słowami kochanka, pod pręgierzem surowej opinii dworu, pognały ją z nową siłą.

Postanowiła wtenczas szukać ratunku przed tą zdrożną miłością w klasztorze i jednej nocy uciekła potajemnie do Benedyktynek w St. Cloud!

Wówczas na dworze nastąpiła konsternacja.

Tego nikt się nie spodziewał!

Ucieczka szczęśliwej w oczach dam dworu, wybranki, wzbudziła pewnego rodzaju podziw. Za to król był w rozpaczy i nie wątpił, że zawiść innych popchnęła Luizę do tak rozpaczliwego kroku.

Zaraz też postanowił pojechać do St. Cloud. Napróżno królowa matka chciała powstrzymać go od tego zamiaru, czyniąc mu wyrzuty, że całkiem już przestał panować nad sobą. Król zmusił ją jednak do milczenia, mówiąc: „Gdybym nie umiał panować nad sobą, okazałbym, że jestem panem tych, którzy mnie obrażają".